Nr 45 (1503) Warszawa, 6 listopada 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

W matni nacjonalizmu.

Komisja do spraw gospodarstwa miejscowego z trudem i mozołem rozgryza dwa najtwardsze orzechy, jakich jej dostarczyła inicjatywa prawodawcza rządu. Jednym z nich to projekt samorządu miejskiego w Królestwie polskim, drugim projekt ziemstw na Litwie i Rusi.

W jednym i drugim wszystkie usiłowania skierowane są na to, by *reformy* zapewniły jak najwięcej prerogatyw panującej narodowości i uprzywilejowanym klasom społecznym, by służyły nie tyle potrzebom ludności, ile idei państwowej rosyjskiej, naturalnie w jej dziś obowiązującym rozumieniu, konstytucyjnym po wierzchu — biurokratyczno-samowładnym w swym jądrze.

Wprawdzie prezes ministrów wyraził się bardzo uprzejmie o „wysokiej odrębnej kulturze narodu polskiego", która już sama przez się uzasadnia naturalne życzenie, by samorząd w Polsce był polskim; uznał jednak za słuszne dodać, że musi on być podporządkowany idei państwowości rosyjskiej, co w tłumaczeniu na język potoczny codziennego życia oznaczało u nas zawsze zwalczanie „wysokiej odrębnej kultury narodu polskiego".

Konieczność pogodzenia tych dwuch postulatów wywołuje ciągłe przeróbki samorządowego projektu. Dla idei państwowej tworzy się uprzywilejowaną kurję rosyjską, lecz w zamian za to — jakoby dla dobra *wysokiej kultury polskiej* — upośledzoną kurję żydowką, zmierzając jak najwyraźniej do tak sztucznego ugrupowania reprezentacji ludności, by ona w niczym nie przypominała istotnego stosunku liczbowego różnych grup narodowych.

Zdawałoby się, że jeśli jednym z motywów obdarzenia nas samorządem ma być uznanie naszej kulturalnej odrębności, to cechą tegoż samorządu winno być otwarcie drogi do szerokiej działalności społeczeństwa na polu oświaty narodowej. Niema na świecie samorządu, którymby za jedno z głównych swych zadań nie uważał pieczy nad wychowaniem publicznym; niema budżetu miejskiego, w którymby szkolnictwo nie było szeroko uwzględnione.

U nas inaczej. Okrojenie kompetencji samorządu w dziedzinie szkolnej jest jedną z najpoważniejszych łamigłówek, o które się sprawa zahacza.

Zważywszy jeszcze, że podporządkowanie samorządu idei państwowej ma się pono wyrazić w rozległych prerogatywach władz administracyjnych, dochodzących aż do czasowego zawieszania działalności samorządnych organów, — łatwo sobie z góry wyobrazić, jakim unikatem w dziejach kultury społeczno-politycznej może stać się ten dziwoląg samorządowy, który po długim i ciężkim porodzie ujrzy światło dzienne w gubernjach „Prywiślinja".

Nie mniej kłopotu sprawia nacjonalistom—z rangą czy bez rangi—sprawa ziemstw na Litwie i Rusi.

O postawieniu jej na gruncie demokratycznym naturalnie mowy być nie może, bo tej podstawy demokratycznej nie uznano nigdzie w Rosji; tylko dzięki temu możliwą jest obecna bierna, serwilistyczna Duma.

Zresztą demokratyzacja ziemstw gubernji zachodnich nie dałaby bynajmniej przewagi narodowości panującej, lecz różnym grupom narodowym, dotychczas systematycznie ignorowanym, ba! nawet całkowicie wykreślonym z państwowego słownika jak Litwinom, Ukraińcom, Białorusinom i t. p.

Natomiast opieranie się na klasach uprzywilejowanych zmusza tam do uwzględniania mniejszości na-

rodowej, *o wysokiej kulturze* — to prawda, lecz bardzo źle widzianej przez nacjonalistyczną prawicę, t. j. Polakom. Przywilej polityczny nie idzie w parze z przywilejem klasowym; dla załatania luki jeszcze jednym przywilejem zaproponowano poprawkę, by przynajmniej połowę członków rad ziemskich stanowiły osoby pochodzenia rosyjskiego.

Poprawkę tę opatrzył sam premjer uwagą na marginesie: „A skąd ich wziąć?" Idea państwowa wymaga, by wszędzie Rosjanie mieli głos i przewagę. Nie przedstawia to żadnej trudności przy centralistyczno-biurokratycznym ustroju.

Jeden naczelnik powiatu, jeden gubernator Rosjanin starczy za dziesiątki tysięcy Polaków, Litwinów, Rusinów lub Żydów. Ale jak reprezentacja — to reprezentacja!—potrzeba wyborców i wybranych; tu się głosów nie waży, tylko liczy.

Może jednak i na to złe znajdzie się jeszcze rada: Oto zachodzi pytanie, kto ma decydować o narodowości jednostek wchodzących w skład kurji? Zdawało się, że może być tylko jedna odpowiedź, mianowicie że każdy sam tylko kompetentnie osądzić może, do jakiej narodowości się poczuwa. Komisja do spraw gospodarstwa miejscowego inaczej rozstrzygnęła tę kwestję: — miejscowy gubernator ma być nieomylnym rzeczoznawcą w sprawie narodowości. Kogo on Rosjaninem mianuje, ten Rosjaninem będzie; kogo on zaliczy do Polaków — nieodwołalnie do kurji polskiej wpisanym zostanie; od jego dowolnego mniemania ma więc zależeć statystyka ludności. Niemniej i ten sposób określania kurji rosyjskiej mógłby się okazać obosiecznym. Cóż bowiem się stanie, gdy Rosjanie z nominacji, lecz nie z przekonania—wybiorą z pomiędzy siebie człowieka również przymusowo odkomenderowanego do kurji rosyjskiej, a poczuwającego się do solidarności z kurją polską, naprzykład? Ilościowy przyrost mógłby się odbić na jakościowej wartości kurji rosyjskiej z punktu widzenia nacjonalistycznych ideałów państwowych.

Wszystkie te kłopoty reakcji są niezmiernie ciekawym widowiskiem dziejowym obracania się całego narodu w błędnym kole absurdów, wytworzonych przez zahamowany w pół drogi przełom wewnętrzny.

Projekt reformy szkolnej w Rosji.

I.

W smutnych dziejach oświaty rosyjskiej doba dzisiejsza będzie stanowiła bodaj jedną z najsmutniejszych kart. Jak gdyby w odwecie za chwile wolności, za dążność do stworzenia systemów i warunków nauki, wolnej od grozy władzy szkolno-policyjnej, od znieprawiania dusz i serc, od zahukania umysłów, od kłamstwa, obłudy i przewrotności, sfery zwierzchnicze w dziedzinie oświaty starają się forsownie nietylko przywrócić to wszystko, co się praktykowało w najgorszych chwilach ucisku i reakcji, ale nadto wytworzyć nowe systemy rygoru i ducha policyjnego w szkole i poza szkołą. W wielu miejscowościach wprowadzono nadzwyczajne utrudnienia w urządzaniu tak zwanych stancji uczniowskich, skrępowano je warunkami nieustannej kontroli policyjnej władz szkolnych. Wprowadzono znowu surowe kary za przypadkowe rozpięcie czy niezapięcie guzika w mundurze. Nad moralnością uczniów czuwa policja i wgląda nawet w sfery życia domowego; szkoła zaś stała się z ducha znowu cyrkułem policyjnym. W kancelarjach napuszona surowość, każdy urzędnik wygląda jak sędzia-inkwirent, lub co najmniej pomocnik komisarza cyrkułu.

Ale nie wszyscy przedstawiciele zwierzchnictwa szkolnego chcą się dobrowolnie stać postrachem młodzieży. Wyrażają oni nieśmiałe protesty, ba, odważają się nawet krytykować surowe, oschłe cyrkularze, brzmiące jak gdyby w młodzieży szkolnej widziano nie przyszłych obywateli kraju, ale co najmniej, ciżbę skazańców.

Już nawet *Nowoje Wremia* ma tego dosyć i wypowiada oburzenie na system i działalność władzy oświatowej.

---

8)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

VII.

Gdy w pewien dżdżysty poranek kwietniowy złożyłam pierwszy pocałunek na główce swego syna, zdało mi się, że życie staje się dla mnie czymś niebiańskiem, że staję się atomem Nieskończoności, niezdolnym do mówienia i myślenia, oderwanym od świata, od przeszłości, od przyszłości. Duże łzy zabłysły w mych oczach. Tuliłam w ramionach swe dziecko, żywe, żywe, żywe! Moja krew w nim była i mój duch: było już mną, a jednak wymagało mnie całej jeszcze i na zawsze; po raz drugi dawałam mu życie ofiarując mu je w długim, delikatnym pocałunku.

Ujrzałam męża płaczącego z radości, uśmiechnęłam się do niego, usnęłam... Później, przypominam sobie, jak wypocząwszy, złożona na świeżej pościeli, uśmiechałam się do sióstr, jak spoglądałam w lusterko, które mi jedna z nich podała, jak ujrzałam w nim kolory na swych policzkach, blask oczu, jasność czoła: piękny obraz macierzyństwa. Ojcu, który również przyszedł, doktór opowiadał o przebiegu porodu: pierwsze bóle o drugiej w nocy, gwałtowny ich wzrost, pół godziny cierpienia, ostatni skurcz, nakoniec ulga: pierwsze kwilenie dziecka, wyjątkowo silnego, doskonale zbudowanego.

Zdania dochodziły do mnie, jak opowieść o zdarzeniu bardzo dawnym, z którego zaledwie słabe pozostało mi wspomnienie. Tak! ciało moje ściskały obręcze ognia, czoło pokrywał zimny pot, stałam się— przez sekundę czy przez wieczność? — biedną istotą, wołającą o litość, zapomniałam o wszystkim; ręce konwulsyjnie szukały jakiegoś oparcia w przestrzeni; myślałam, że umieram w chwili gdy mój syn się rodził, z piersi mych wydarł się okrzyk buntu w imię mego rozdzieranego ciała, mych szarpanych wnętrzności, w imię mej łamiącej się świadomości.. Kiedyż to wszystko się stało? Przedtym, przedtym! Zanim ujrzałam oczy swego maleństwa! Nie pamiętałam już tego, co przeszłam, bo miałam przy sobie ciepłe drob-

„Wszelkie zadawnione nieszczęście szkoły rosyjskiej — czytamy w tym organie — tkwi w tym, iż całkowicie dostała się ona w surowe ręce (*jeżewyja rukawicy*) umundurowanego urzędnika i jego duchem jest owiana". Dalej, oburzając się na wydalenie p. Lewszina, kuratora ryskiego okręgu naukowego, organ p. Suworina pisze: „Takie fakty wywołują popłoch śród dyrektorów i nauczycieli nawet w innych okręgach... Nominacje, translokowanie nauczycieli oraz rewizje wymagają wielkiej delikatności, ostrożności i sprawiedliwości". Tymczasem nawet z kuratorem okręgu postąpiono bez ceremonji i wydalono go bez żadnej przyczyny.

Mamy inny fakt, o wiele wymowniejszy: Kurator okręgu naukowego w Petersburgu zwrócił się do wszystkich dyrektorów szkół średnich z żądaniem, ażeby się przyznali, kto jest autorem listu do redakcji z podpisem: „dyrektor", który śmiał skrytykować cyrkularz ministerjalny. Potraktowano więc dyrektorów jak żaków szkolnych i nakazano im przyznanie się lub... denuncjację koleżeńską! Ten jeden fakt wymownie ilustruje cały system.

Wkrótce na sesji jesiennej Dumy Państwowej będą walczyły dwa projekty praw o szkole ludowej: jeden opracowany przez ligę Oświaty i wysunięty przez opozycję, drugi — opracowany przez ministerjum oświaty. Ponieważ w reakcyjnej Dumie ten drugi niewątpliwie zwycięży, warto więc mu się przyjrzeć, bo obok zupełnego prawdopodobieństwa wprowadzenia go w życie bez zmian, mieści się w nim cały system i duch oświaty rosyjskiej biurokratycznej. Nowe przepisy ministerjalne mają wejść w życie zamiast przepisów z r. 1874, przesiąkniętych duchem nieufności do społeczeństwa. Władzą sterniczą i decydującą dotąd była inspekcja o szerokich prawach administracyjno-policyjnych. Natomiast nauczyciele, ziemstwo i ludność byli zepchnięci na plan ostatni.

Czy wprowadzają coś innego nowe przepisy ministerjalne? Celem szkoły ludowej, jak głoszą owe przepisy, ma być ugruntowanie w uczniach zasad religijnych i moralnych oraz dostarczenie im niezbędnych wiadomości początkowych. Szkoły, zakładane przez władze rządowe, ziemstwa, miasta i stany, mogą być otwierane z zawiadomieniem tylko o tym na siedem dni naprzód rady nauczycielskiej powiatowej lub miejskiej. We wszelkich zaś innych wypadkach założyciele muszą za każdym razem prosić o pozwolenie radę nauczycielską. Tym sposobem system meldunkowy istnieje tylko dla szkół miejskich i ziemskich. Osoby prywatne będą musiały za każdym razem kołatać o pozwolenie, oczywiście walczyć z licznymi trudnościami i formalnościami.

Szkoły ludowe dzielą się na jednoklasowe z trzy i czteroletnim kursem nauki i dwuklasowe z kursem pięcio i sześcioletnim. Nowością jest zaliczenie do uczelni początkowych także szkół niedzielnych i wieczornych, otwieranych dla dorosłych oraz dla dzieci, które nie mogą rano i w dzień uczęszczać na lekcje.

Program nakreślono cokolwiek szerszy niż dotąd: religja, język rosyjski, arytmetyka, krótki kurs gieometrji wraz z kreśleniem, gieografja, historja Rosji, krótkie wiadomości z przyrodoznawstwa, kaligrafja, o ile można śpiew, rysunek i ćwiczenia fizyczne. Ale, niestety, jest zastrzeżenie, które ten rozszerzony program może w każdej chwili zwęzić: „Zakres wykładu przedmiotów kursu szkół początkowych jest określany przez *plan naukowy*, który wydaje ministerjum oświaty" (§ 14). Nadto, przepisy głoszą: „Wykład odbywa się po rosyjsku według podręczników, zaleconych przez ministerjum oświaty". (§ 13). Znowu więc te same przestarzałe, suche, pełne fałszu i niedokładności podręczniki, pisane przez ludzi nieudolnych ale ustosunkowanych, które przez dziesiątki lat zagważdżały umysły młodzieży i dziatwy. Metody i podręczniki, chociażby napisane przez doświadczonych i utalentowanych pedagogów według najracjonalniejszych systemów, mających na względzie jak najmniejsze wyczerpanie uczniów, a największy ich rozwój umysłowy, nie znajdą wstępu do takich szkół, bo nigdy nie znajdą dróg do zdobycia sobie aprobaty decydujących sfer biurokratycznych. Nie będą nigdy „uznane" („odobrennyje").

Nadto, nowe przepisy zupełnie lekceważą inne narodowości i inne języki. Wcale niema mowy o wykładach w języku ojczystym. Powiedziano tylko, że w miejscowościach z „ludnością inojęzyczną" dozwolony jest wykład języka miejscowego, jako przedmiotu oddzielnego. Zrobiono wyjątek tylko dla religji, która może być wykładana w rodzinnym języku ludności. Wreszcie językiem rodzinnym, jako pomocniczym, wolno się posługiwać tam, gdzie dzieci nie mówią po rosyjsku, ale tylko w pierwszym roku nauki, a w razie potrzeby koniecznej, także w drugim.

Zdawałoby się, iż zgodnie z potrzebami życia

---

ne ciało, bo czułam rozkoszną błogość, bo nazajutrz miałam dać pierś swemu synowi.

Czy będę mogła go karmić?

Wciągu ciąży to najbardziej mnie niepokoiło. Jeszcze wczoraj gotowa byłam cierpieć o wiele dłużej, byle móc go wykarmić. Kiedy patrzałam po raz pierwszy na jego łakomie ssące usteczka, gdy usłyszałam jak gardło jego łykało płyn, obficie wypływający z mej piersi, gdy potym zobaczyłam jego spokojnie zasypiającą, zadowoloną twarzyczkę, ogarnęło mnie nowe, niewypowiedziane wzruszenie. Przez tydzień żyłam jakby w śnie rozkosznym, w pełni energji duchowej, która nie pozwalała mi odczuwać wyczerpania fizycznego i dawała złudzenie potęgi życiowej.

Podczas gdy mój mały spał w swej białej kołysce, obok mnie, puszczałam wodze fantazji; w umyśle mym rodziły się dwa różne projekty: jeden odnosił się do mego syna, odtwarzał marzenia wszystkich miesięcy, poprzedzających jego urodzenie, malował słodycz mego zadania karmicielki, wychowawczyni, towarzyszki; drugi zrodził się z niepohamowanej dążności do wypowiedzenia w formie artystycznej tego, co mnie teraz wzruszało, napełniało tak różnymi i nowymi uczuciami. W myśli mej rozwijał się temat powieści, zamyślałam napisać ją skoro tylko do sił powrócę, w długie godziny czuwania przy kołysce. W półśnie uśmiechałam się do obrazu oczekującej mnie sławy.

W siódmą czy ósmą noc po urodzeniu się mego syna, gdy obsypywałam go pełnymi czułości wyrazami, spostrzegłam jego drobną twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem, uśmiechem długim, pełnym, cudnym; wrażenie było tak silne, że omal nie zemdlałam.

Nie wierzyłam doktorowi, gdy następnego ranka tłumaczył mi, że uśmiech ten był jedynie bezwiednym skurczem mięśni, odbiciem zadowolenia fizjologicznego, którego dziecko doświadczało w tej chwili sytości i spoczynku. Jak słodką była myśl, że między mną a mym dzieckiem istniała już nić sympatji, że w ciszy nocnej, wobec obrazu mej kochającej twarzy stwierdzało ono uśmiechem swe życie małego człowieka.

Doktór patrzał na mnie z czułością, zalecił mi bym się nie przejmowała, szczególniej bym się nie dręczyła niesłusznie tym, że mały szczupleje; zapewnił mnie raz jeszcze, że pokarm mój jest dostateczny i że nie powinnam się niczego obawiać.

Dzień spędziłam napawając się wspomnieniem uśmiechu, który ukazał mi się jako zapowiedź rozkoszy, czekających mnie w przyszłości.

Nadszedł wieczór, przyszły siostry z nauczycielką. Rozmawiałam z nimi wesoło; gdy przyszła siostra męża, powitałam ją z radością, ona jednak udając że

projekt przewiduje rady pedagogiczne i tak zwane kuratorja kolegjalne. Zadaniem pierwszych jest roztrząsanie spraw nauki i wychowania. Mają one powstawać przy tych szkołach początkowych, które liczą więcej niż po dwu nauczycieli. Do rady wchodzą wszyscy nauczyciele danej szkoły i jeden członek kuratorjum z wyboru. Instrukcji radom udziela powiatowa lub miejska rada szkolna, lub wreszcie dyrektor szkół ludowych, na zasadzie wskazówek ogólnych ministerjum oświaty.

Rada pedagogiczna ma tedy, jak widzimy, na celu łączność pomiędzy nauczycielami szkół a kierownikami zwierzchnimi. Trudno jednak przypuścić, ażeby te rady miały jakąkolwiek inicjatywę lub samodzielność w zakresie istotnych potrzeb życiowych szkoły. Przepisy mówią również o zbiorowych naradach pedagogicznych, w których udział brać będą: nauczyciele szkół ludowych, członkowie rady szkolnej i przedstawiciele kuratorjów. Będą rady a raczej narady powiatowe i miejskie, zwoływane celem gruntownego rozważenia spraw szkolnych, na mocy decyzji rady szkolnej, pod przewodnictwem osoby, wyznaczonej przez radę szkolną powiatową, miejską lub okręgową, albo też przez dyrektora szkół ludowych tam, gdzie niema instytucji ziemskich. Wnioski tych narad idą pod opinję rad szkolnych lub dyrektora szkół ludowych.

Kuratorja szkolne mają na celu dziedzinę gospodarczą oraz pieczę nad bytem jednej lub kilku szkół w mieście, wsi, gminie i t. d. Zakres działalności kuratorjów ustanawiają utrzymujący szkoły po porozumieniu z radą szkolną, lub dyrektorem szkół (gdzie rad niema) za wiedzą władzy gubernjalnej. Kuratorjum przy jednej szkole składa się z katechety, nauczyciela lub nauczycielki (z wyboru) oraz z dwuch osób, wybieranych na trzy lata przez nauczyciela szkoły. Nadto do kuratorjów, z aprobatą rady szkolnej, wchodzą osoby, które poczyniły znaczne ofiary na rzecz szkoły.

Jak widzimy, społeczeństwo jest zupełnie odsunięte od szkół ludowych i pod tym względem projekt nawet się cofnął w stosunku do przepisów tymczasowych, wydanych w r. 1907.

Co więcej, nawet i w tych ograniczonych kuratorjach przewidziano pewne ograniczenia: w razie wykrycia *szkodliwego* wpływu na szkołę któregokolwiek z członków kuratorjum, usuwa go naczelnik gubernji, po porozumieniu z władzą szkolną Z tego widzimy, że pojęcie „szkodliwy" może być bardzo rozciągliwe i względne.

Zadania kuratorjów są bardzo ważne; tym większa szkoda, że społeczeństwo, najbardziej zainteresowane, będzie musiało stać od nich zdala. Oto zakres ich działalności: 1) przyjmowanie, przechowywanie i wydatkowanie sum, wpływających na utrzymanie szkół; 2) wyszukiwanie środków na urządzenie dodatkowych i repetycyjnych klas lub kursów; 3) troska o dostarczenie wszystkim dzieciom w wieku szkolnym możności uczenia się; 4) czuwanie nad sumiennym uczęszczaniem na lekcje i pobudzanie do czujności rodziców dzieci; 5) zaopatrywanie uczniów ubogich w środki naukowe, wyszukiwanie i urządzanie dla nich mieszkań i noclegów, wreszcie komunikowanie radzie szkolnej spostrzeżeń własnych o pewnych zboczeniach i niedokładnościach w przebiegu zajęć szkolnych. Dla wprowadzenia w czyn zarządzeń swoich własnych lub wskazanych na mocy rozporządzeń władzy, kuratorja mają prawo uciekać się do pomocy władz gminnych, policyjnych lub sądowych.

Minister oświaty po porozumieniu z władzą gubernjalną ma prawo wkładać na kuratorja *obowiązek nadzoru nad nauką pozaszkolną oraz nad osobami, zajmującymi się nauczaniem domowym.*

Jak widzimy tu, atrybucje te przechodzą już zakres czynności gospodarczo-pedagogicznych i wchodzą w tę dziedzinę, w której społeczeństwo [1]) nie mogłoby współdziałać.

(d. n.) *Zenon Pietkiewicz.*

---

[1]) Mówiąc o *społeczeństwie*, nie mamy oczywiście na myśli żywiołów czarnosecinnych, które zawsze i jak najdalej pójdą ręka w rękę z oświatą najbardziej policyjną.

---

nie ʒ widzi obecnych, po ucałowaniu siostrzeńca, pozostała, stojąc, z twarzą złą, milcząca. Siostry, zamieniwszy między sobą znaczące spojrzenia, spokojnie dalej prowadziły rozmowę, a po paru chwilach wyszły, skłaniając lekko głowy w stronę nieposkromionej złośnicy. Nie zdążyły jeszcze drzwi zamknąć za sobą, a już rzuciła się ona na mnie, jak furja, z całym gradem wymysłów pod ich adresem. Miała oddawna urazę do nich za niezłożenie jej wizyty, lecz nigdy jeszcze uraza ta nie ujawniła się w sposób tak gwałtowny. Mąż mój miękko zaprotestował, ja zdołałam jedynie odpowiedzieć kilka słów pogardliwych i opadłam na poduszki, czując ogarniającą mnie gorączkę i odsuwając od piersi dziecko. Długo mówiła moja bratowa, podniecając się coraz bardziej. Gdy odeszła, czułam się zupełnie wyczerpaną, niezdolną nawet zwrócić uwagi mężowi na stan, w jakim się znajduję. W nocy dziecko płakało nienakarmione; rano doktór zastał mnie wylewającą łzy rozpaczy na główkę syna, daremnie przyczepionego do mej piersi.

Straciłam pokarm. Napróżno przez dni piętnaście próbowałam wszelkich środków, djet, żyjąc jedynie pragnieniem wykarmienia swego dziecka. Dotychczasowa moja energja zdawała się wyczerpywać; płakałam cicho, jak dziecko, patrząc na piersi nie wzbierające pokarmem, sprawdzając co chwila wagę mego syna, starając się przygotować do zniesienia widoku tej ukochanej główki opartej na innej piersi. Było to nowe cierpienie, bardziej fizyczne niż duchowe; coś, co łamało mnie, zabijało wspaniałe marzenia, zbudzone przy białej kołysce, coś, co odrzucałam ze wstrętem, jak potworną niesprawiedliwość.

Musiałam ustąpić, by nie zabić dziecka. Mamka została w domu, dziecko miało spać obok mnie.

Zdaje się, że znienawidziłam tę młodą kobietę, która zajęła moje miejsce, kobietę o twarzy głupio klasycznej, ruchach ociężałych, niezgrabnych; lecz i ona nie miała dostatecznego pokarmu dla małego żarłoka. Po tygodniu musiała ustąpić innej. Nowa karmicielka o wyglądzie pokornym, spojrzeniu cichym i dobrym, uspokoiła nareszcie moje obawy co do zdrowia dziecka. Odczuwając mą zazdrość macierzyńską, biedna kobieta walczyła z pragnieniem pocałowania istoty, której dawała krew swą, i całą siłą woli starała się nie przekraczać mych życzeń. Dzięki temu zwalczyć mogłam nieco swe cierpienia, uspokoić się i kierować dziełem, którego nie mogłam sama wykonać. Blada, w białych swych sukniach, zagłębiona w fotelu, starałam się rozgrzać w promieniach majowego słońca, słuchając z roztargnieniem słów doktora, jedynej osoby, wnoszącej w me życie trochę promieni duchowego braterstwa. Opanowała mnie i nie opuszczała anemja. Nie zwracałam na nią uwagi;

Ludność żydowska w Królestwie, Litwie i Rusi.

(Dokończenie).

Najmniej żydowskim z całej Białej Rusi i Litwy jest powiat Siebieski mało urodzajny, daleko wysunięty na wschód i podchodzący pod gubernję Pskowską.

Z miast większych na Litwie i Białej Rusi żydzi stanowią większość bezwzględną w Białymstoku (66 pr.) Mińsku (51,2 pr.), w Pińsku (74,2 pr.), w Wilnie liczą ich 40,3 pr., Kownie 37,06 pr.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Litwa jest krajem par excellence rolniczym, że ludność miejska stanowi niespełna 12 pr., kiedy w gubernjach przemysłowych cyfra ta dochodzi do 20 — 30[1], że Żydzi na mocy prawa z 1833 roku mogą mieszkać tylko po miastach i miasteczkach, to zrozumiemy owe nienaturalne skupienie ludności żydowskiej. Jeżeli zaś uwzględnimy jeszcze bardzo mały udział Żydów w rolnictwie[2]), jeżeli skonstatujemy, że praca w zawodach inteligienckich wobec istnienia szeregu ograniczeń dla Żydów jest niezwykle utrudniona, że jedynymi środkami zarobku dla nich są handel, przemysł, wszelkiego rodzaju pośrednictwo i rzemiosło, to na Litwie i Białej Rusi, jako dzielnicach o słabo rozwiniętym przemyśle — środki zarobku Żydów są najzupełniej niewystarczające i proletarjat żydowski cierpi straszną nędzę.

To wpływa na to, że Żydzi na Litwie i Białej Rusi zajmują daleko więcej separatystyczne stanowisko, niż w Królestwie i, stanowiąc społeczeństwo w społeczeństwie, coraz bardziej zasklepiają się w sobie, wyodrębniają się najzupełniej od ludności miejscowej i ulegają modnym hasłom żydowskiego nacjonalizmu.

---

[1]) W gub. Piotrkowskiej ludność miejska wynosi 36 proc., w Warszawskiej 42 proc.

[2]) Na sto Żydów — rolników 3,24, gdy tymczasem w tymże stosunku Polaków 61,42, Litwinów 84,15, Rusinów 86,46 i Białorusinów 89,93.

Przechodząc następnie do gub. rusińskich: Wołynia, Podola i Ukrainy, stwierdzamy, że Żydzi w tych 3 gubernjach stanowią 12,43 proc. ogólnej ludności. Rozsiedlenie się Żydów w tym kraju jest dość równomierne. Wyjątek stanowi powiat Berdyczowski, w którym ludność żydowska dosięga 23,2 proc. Berdyczów z dawiendawna słynie jako centrum żydowskie. Szkoda że nie mam danych statystycznych dotyczących samego miasta, zapewne jednak Żydzi stanowią w nim przeszło 80 proc. ogólnej ludności. [3]) Większe skupienia Żydów spotykamy w powiatach Nowogród-Wołyńskim (15,6 proc.) Żytomierskim (14,3 proc.) Mohylowskim (Podolskiej) 14,5 proc. i Lipowieckim gub. Kijowskiej (15 proc.). Najmniej żydowskimi są powiaty Taraszczański (9,4 proc.) i Czehryński (8,6 proc.). Obydwa te powiaty leżą w gub. Kijowskiej.

Ruś jest krajem bogatym, mało dotychczas wyzyskanym, nie spotykamy więc takiej nędzy mas żydowskich jak na Białej Rusi lub Litwie.

Położenie Żydów jest jednak nie mniej ciężkie pod wieloma względami.

Nizki poziom kulturalny miejscowej ludności czyni ją podatną do wszelkiej agitacyi i często zbrodnicze żywioły w celach egoistycznych wyzyskują ją w kierunku najmniejszego oporu, a mianowicie przeciw ludności żydowskiej. Pogromy w sąsiednim Kiszyniowie, Żytomierzu, Bałcie, Kijowie, Zmierzynce, Wapniarce, Winnicy, Czerkasach i wielu innych miejscowościach czynią jutro niepewnym i zagrażają mieniu i życiu żydowskich mieszkańców. Czynnik to nader poważny i z nim muszą się liczyć Żydzi, zamieszkujący Ruś.

To wpływa na to, że żydzi na Rusi są rozrzuceni w mniejszych skupieniach niż na Litwie lub Królestwie Polskim.

W Kijowie Żydzi stanowią 12,1 proc. ogólnej ludności. Niewielka ilość Żydów w Kijowie w stosunku do innych miast Rusi tłumaczy się specjalnymi przepisami, ograniczającymi pobyt i zamieszkanie Żydów w tym mieście.

Reasumując wszystko wyżej wspomniane, docho-

---

[3]) Berdyczów liczy 78 proc. ludności żydowskiej.

---

jednocześnie wszakże coraz bardziej dokuczały mi nerwy. Higjena mego małego stała się wprost moją manją; byłam bezwzględną w stosunku do mamki, chociaż w chwilach spokoju odczuwałam niezmierną dla niej wdzięczność. Syn mój rozwijał się jak kwiat, między dwiema matkami. Coraz bardziej go kochałam, rozumiejąc, że w nim złożyłam swą najgłębszą wartość. Życie moje ześrodkowało się w tej drobnej istocie.

Nie spostrzegłam, że mąż mój stał mi się zupełnie obojętnym, że przestał mnie interesować. Moja pobłażliwość dla niego, stała się przyzwyczajeniem. Był ojcem mego dziecka, człowiekiem którego kiedyś syn mój miał szanować; postępowałam tak, aby nie rozwiać złudzeń co do jego istoty moralnej, aby wydał się godnym mnie i swego ojcowstwa. Byłam mu wdzięczną, gdy zauważyłam, że przejmuje się lub cieszy objawami rozwoju dziecka, podziela poniekąd me ciągłe obawy, znosi nietylko niepokój nocny, ale i skargi moje na wszystko, co nie było uśmiechem mego syna. Jakgdyby urok jakiś wszakże ciążył nad wychowaniem mego dziecka: w piątym miesiącu umarła córeczka mamki i ta straciła nagle pokarm. Do domu przyszła nowa kobieta, czarna, krwista, silna, o charakterze wręcz przeciwnym tej, która odeszła. Nie widziałam nigdy usposobienia bardziej dziwacznego, głupiego i obojętnego zarazem. W ciągu długich miesięcy rozwoju sił i piękności dziecka, musiałam staczać walkę wewnętrzną, by znieść dźwięczny i wyzywający śmiech tej chłopki, śmiech, który ranił mnie najbardziej, gdy wybuchał tuż przy twarzyczce dziecka.

Mąż robiąc mi wymówki, powiększał mą gorycz; nie rozumiał, że wady tej kobiety drażniły mnie, bo psuły obraz tej drugiej matki, jaką chciałam widzieć w mamce mego syna? Bałam się, że dziecko wyssać może z mlekiem cechy jej charakteru.

Mąż coraz energiczniej zaczął jej bronić, mózg mój przeszyło wówczas podejrzenie, obrażające najświętsze moje uczucia.

Było ono tak potwornym, że całą siłą broniłam się przeciwko chęci sprawdzenia go. W rzeczywistości poza energją, którą wykazywałam w stosunku do dziecka, stałam się zupełnie niezdolną pragnąć czegokolwiek; miejsce zmęczenia fizycznego—zajęło zmęczenie moralne, niezadowolenie z samej siebie, wyrzut tej lepszej cząstki mego „ja", którą zaniedbałam, którą tak długo tłumiłam i ukrywałam. Nie była to niemoc, ale poczucie braku wartości mego życia. Matka nie uzupełniała we mnie kobiety; radości i smutki pochodzące od ukochanego dziecka były w sprzeczności z moją niestałością, z ogarniającymi mnie naprzemian tęsknotą i egzaltacją, pragnieniem i apatją, których źródła nie znałam, a które kazały mi widzieć w sobie istotę niezrównoważoną.

D. C. N.

dzimy do przekonania, że największe zogniskowania Żydów spotykamy w gubernjach przemysłowych, podczas gdy w gubernjach rolniczych ludność żydowska, nie mogąc znaleźć dostatecznych zarobków, szuka ratunku w wychodźtwie za Ocean.

Dotychczas zajmowaliśmy się obliczaniem Żydów—separatystów.

Ciekawą jednak jest odpowiedź — jaki wyłom w chińskim murze żydowskiego odosobnienia uczyniły idee asymilicajne, zespalające wyznawców religji mojżeszowej ż żywiołami miejscowymi.

Z wyznawców tej religji, zamieszkałych w Królestwie Polskim 95 proc. uznało swą przynależność do narodowości żydowskiej. Z reszty 46,390, to jest około 3 proc. wszystkich Żydów w Królestwie uważa się za Polaków, 6439 za Rosjan, 3126 za Niemców, 153 za Litwinów. Wtym w Warszawie i gub. Warszawskiej mieszka 29554 Polaków wyznania mojżeszowego—rosjan tegoż wyznania 4,630, Niemców Żydów około tysiąca. Proces symilacyjny, jak widzimy z powyższych cyfr, głównie zogniskował się w Warszawie i jest znacznie słabszym na prowincji. W Warszswie mieszka 64 proc. Żydów-Polaków—72 proc. Żydów-Rosjan i 32 proc. Żydów-Niemców.

Proces asymilacyjny ogarnął przeważnie ludność miejską; — w osadach i wioskach mieszka 3755 Polaków-Żydów, 135 Rosjan-Żydów, 867 Niemców-Zydów 8,3 Litwinów-Żydów.

Rozluźnienie jedności żydowskiej da się zauważyć nawet w szerokich masach proletarjatu żydowskiego, gdyż nawet wśród ciemnych mas posiadamy Żydów-Polaków—tak, z wyznawców religji mojżeszowej zamieszkałych w Królestwie Polskim, podających się za Polaków 18152 było analfabetami. To jest analfabeci wśród Żydów-Polaków stanowią 40 proc., gdy wogóle procent analfabetów u Żydów wynosi 66,4 proc. Trzeba zauważyć, że procent analfabetów Żydów pośród mężczyzn i kobiet jest nader różnym — i wykazuje dużą niekorzyść dla płci żeńskiej.

Ludność żydowska na Litwie i Rusi zajmuje daleko więcej separatystyczne stanowisko, niż w Królestwie. Gdy w tym ostatnim około 5 proc. wyznawców religji mojżeszowej przyznawało się do innych narodowości, w kraju zachodnim procent ten wynosił zaledwie 0,6 t. j. proces asymilacyjny był tu 8 razy słabszy niż w Królestwie.

Na Litwie i Rusi mieszka 11,580 Żydów-Rosjan, 745 Niemców tegoż wyznania, około 2500 Rusinów i Białorusinów, 946 Litwinów i Łotyszów i *663 Polaków.*

Cyfra ta wymownie świadczy jak słabe są wpływy kultury polskiej na ludność żydowską, osiadłą na Litwie i Rusi. Wypadną one na niekorzyść żywiołu polskiego nawet w porównaniu z Poznańskim, gdzie pomimo fatalnych stosunków istniejących, w Prusach, 4907 wyznawców religji mojżeszowej przyznało się do narodowości polskiej.

Oprócz tego spis notuje 14 Żydów-Polaków na Syberji, 5 na Kaukazie i 3 w Azji Centralnej.

Kończąc pracę niniejszą, poświęconą zbadaniu materjału statystycznego odnoszącego się do ludności żydowskiej, uważam za pożyteczne postawić jeszcze jedno pytanie — jakim jest przyrost roczny wśród Żydów i wśród chrześcijan w Królestwie Polskim.

Otóż, podług badań dr. Benzamera drukowanych w artykule: „Zahl, Verteilung und Zunahme der Juden auf der Erde", pomiędzy latami 1872 — 1883 w Królestwie Polskim przyrost roczny wśród Żydów wynosił przeciętnie 2 proc. gdy tymczasem wśród innych narodowości, zamieszkujących Kongresówkę, wyraża się on odsetkiem 1,5. Ludność żydowska podwaja się w przeciągu 35 lat, gdy tymczasem pozostała ludność potrzebuje na to 46,67 lat.

Podług Wengierowa:

W roku	1856	liczono w Królestwie Polskim	563,000
„	1882	„ „	1,045,000
„	1893	„ „	1,224,000
„	1897	„ „	1,316,000

Trochę inaczej przedstawia się sprawa podług danych Waszawskiego Komitetu Statystycznego.

W roku 1889 na 1,000 mieszkańców wypadło w Królestwie Polskim:

	U chrześcijan	u Żydów
Urodzin	44,5	31,3
Śmierci	28,1	17,9
Natur. przyrost wynosi	16,4	13,4

Komu wierzyć? Ja byłbym bardziej za danymi d-ra Benzamera — jeżeli weźmiemy pod uwagę wpływ religijny na ciemne masy proletarjatu żydowskiego, wskutek którego Żydzi daleko wcześniej zawierają małżeństwa. Dotychczasowo panujące przesądy wyznaniowe każą Żydom uważać małżeństwa bezdzietne za niebłogosławieństwo Boskie i to jest ważnym powodem dła rozwodu.

Jeżeli ludność żydowska nie podwaja się w tempie wskazanym przez Benzamera, to na to wpływa wzmożona emigracja.

Piotr Zubowicz.

Źródła:

1) Premier recensement général de la population de l'empire de Russie 1897 r. Redigé par Nicolas Tyoinitsky.

2) Jüdische Statistik. Herausgegeben vom Verein für Jüdische Statistik. Unter der Redaktion von D-r Alfred Nossing. Berlin 1903.

3) Die Juden im Konigreich Polen. Von Leo Wengierow.

4) Edward Czyński i Tillinger. Etnograficzno statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenie ludności polskiej. II wyd. 1909 r.

Nowe prądy w parafjach.

Współpracownik *Zarania* włościanin,— Tomasz Nocznicki wydrukował w Nr. 30 tego pisma artykuł p. t. „Praca i płaca", który stał się początkiem bardzo ciekawej i znamiennej, a dotąd ściśle rzeczowo prowadzonej dyskusji.

Zwrócił tam mianowicie uwagę na bardzo nieproporcjonalne ustosunkowanie się ofiarności gminy na szkołę i kościół, na różnicę wynagrodzenia księdza i nauczyciela.

Nauczyciel pobiera najwyżej 320 (!) rb. pensji rocznej. Gdy domaga się reperacji swego nędznego mieszkania, gminiacy uchylają się od kosztów dowodząc, że oni sami jeszcze gorzej mieszkają, czemu przeczyć trudno. Gdy do tejże wsi zjechać ma biskup, ksiądz wzywa do składek na uroczyste przyjęcie i oto na skutek jego wezwania odrazu zbiera się stokilkadziesiąt rubli „na przystrojenie drogi, bram tryumfalnych, na fatałachy—na wino i jedzenie".

Każdy nauczyciel „to chudeusz zapracowany, walczący z biedą, a nieraz z nędzą! człowiek bez żadnej przyszłości, bo po 35 latach ma się dosłużyć lichej emeryturki, 120 rubli na rok; ale który z nich tego doczeka?".

Tymczasem dochody księży są znaczne. Nocznicki przytacza jednego proboszcza, który—gdy była mowa o wyznaczeniu księżom stałej pensji w miejsce akcydensów, powiedział: „Niech mi dadzą 5 tys. rubli rocznie, to przystanę".

Inny znów, zakonnik, twierdził, że księża zgodziliby się na 3,000 rubli pensji. Autor porównywa mieszkanie proboszcza z mieszkaniem nauczyciela, omawia ich stopień wykształcenia, ilość pracy, wreszcie i potrzeby człowieka bezżennego, a pracującego na rodzinę i dochodzi do wniosku, że niesprawiedliwość tu bije w oczy. Dodajmy, że przecież bezżen-

stwo księży w kościele katolickim uzasadniano nieraz dążeniem do zredukowania ich potrzeb materjalnych i gwarantowaniem bezinteresowności.

Poruszenie tej tak drażliwej sprawy musiało wywołać replikę. Ksiądz Bliziński, jeden z najofiarniejszych a najbardziej bezinteresownych kapłanów, wystąpił w obronie swych konfratrów, dowodząc, że ich dochody są często przy bardzo wytężonej pracy bardzo skromne, że w djecezji włocławskiej jest ze stu księży, nie mających więcej niż 800 rb. rocznie.

Nawiasem mówiąc i te marne 800 rb. to zawsze więcej niż dwa razy wzięta maksymalna pensja nauczycielska.

Nie bez racji jednak w dalszej dyskusji T. Nocznicki podaje w wątpliwość ową cyfrę 800 rb., gdyż dochodów kościelnych trudno obliczyć i skontrolować.

Ażeby znieść wyzysk i targi przy posługach kościelnych, do czego i ks. Bliziński zmierza, prroponuje Nocznicki taką zmianę, by księżom wyznaczyć stałą pensję w stosunku do liczby dusz w parafji i to od 1,500 dusz 800 rb., od 2,000—1,000 rb., od 3,000—1,500, od 4,000—2,000, a powyżej tej cyfry utrzymanie dla wikarego. Za tę pensję powinien ksiądz odprawić wszystkie nabożeństwa w niedzielę i święta, darmo grzebać, chrzcić i śluby dawać, święcić i kolendować, a tylko za msze odprawiane na prywatną intencję pobierać dodatkowe opłaty.

Z góry przewidując oburzenie księży, których to bardzo drażni, gdy ich kto krytykuje i kontroluje, zaznacza autor: „Ja, chociaż mnie księża od czci odsądzają, proponuję im przez *Zaranie* stałą pensję do 2,000 rb.". Poza tym stawia jeszcze inne tak określone żądania: 1-o traktowanie nas w słowie i piśmie jako ludzi, obywateli kraju; 2-o stałe pensje, jawność rachunków kościelnych, niewtrącanie się do czytania, byle czytający uczciwie żył i 3-o obsadzanie probostw za zgodą parafjan. „O to walczyliśmy i walczyć będziemy"—dodaje.

Wyraża też autor nadzieję, iż chłopi oświeceni zrozumieją wtedy, „że, gdy księdzu płaci się 1,200 rb. na rok, nauczycielowi nie można dać mniej niż 600 i dzisiejsza niesprawiedliwość społeczna wyrównaną zostanie".

Dokładniejsze rzeczowe i cyfrowe wyjaśnienie danej sprawy znajdujemy w następnym artykule, podpisanym przez bezimiennego „Organistę".

Przypomina on, że istnieje taksa na posługi kościelne lecz datuje z 1809 i 1818 roku i jest na dzisiejsze warunki śmiesznie nizką, ponieważ zuś i płacona przez rząd pensja jest bardzo mała, a grunta probostwa (do 6 mórg) zredukowane, całe utrzymanie księdza spada na barki parafjan. Na pytanie, ile to wynosi, podaje „Organista" cały szereg cyfr, obliczonych—jego zdaniem, wedle bardzo nizkiej skali a dających w ogólnej sumie 2,182 rb. na parafji z 3,000 dusz, włączając w to pensję (300 rb.) i dochód z ziemi (150 rb.). Tym sposobem parafja składa 1,732 rb. rocznie. Poza tym jednak utrzymuje ona jeszcze służbę kościelną, to jest organistę i kościelnego. Całkowity roczny dochód organisty wynosi, wedle jego obliczeń, 489 rubli, a kościelnego 150 rb. rocznie.

Autor tych uwag zaznacza dość naiwnie, że stosunkowo z nich wszystkich trzech najmniej pracy ma proboszcz. Może to i racja — ale sam przez się wzgląd ten nie może być decydujący, bo na tej zasadzie można by dążyć do zrównania pensji sędziów z pensją woźnych lub dyrektorów szkół z pensją pedli.

Tak daleko jednak wymagania „Organisty" nie zmierzają. W myśl propozycji p. Nocznickiego dąży on tylko do złagodzenia zbyt wielkich przeciwieństw. Obliczając dochody z pensji rządowej, z ziemi i z zakupionych mszy na 850 rb., sądzi on, że gdyby parafja trzytysięczna dołożyła 700 rubli, powinnoby to wystarczyć na utrzymanie księdza. Dla organisty proponuje 600 rb. rocznie a dla kościelnego 300. Przewiduje tylko dodatki za specjalną ostentację przy kościelnych obrzędach. I on również jest zdania, że tę reformę stosunku parafjan do księdza i kościoła powinny przeprowadzić z własnej inicjatywy zebrania parafjalne, obłożywszy się stałym podatkiem proporcjonalnym do dochodu. Idzie jeszcze dalej i podaje podział parafjan, jakoby na trzy klasy podatkowe. Pierwsza, złożona z wyrobników, żyjących wyłącznie z pracy, płaciłaby po 1 rb. rocznie, druga, t. j. właściciele gruntów płaciliby podatek od morga, a trzecia, właściciele nieruchomości lub przedsiębiorstw, składkę odpowiednią do majątku lub zysku przedsiębiorstw.

Redakcja *Zarania*, nie opatrując ze swej strony głosów powyższych żadnym komentarzem, wzywa czytelników, by się wypowiadali w tej ważnej sprawie.

Istotnie, ktokolwiek choć trochę zna stosunki wiejskie, przyzna, że jest to jedno z najważniejszych zagadnień życia wsi naszej. Ciężary, ponoszone przez chłopów na rzecz kościoła, nie ograniczają się przecież na tych opłatach, które stanowią bezpośredni dochód księdza. Ile razy chodzi o odnowienie lub upiększenie wiejskiej świątyni, o przebudowę starej plebanji lub zbudowanie nowej, zawsze proboszcz z ambony apeluje na nowo do ofiarności parafjan i tak eksploatowanej stale na każdym nabożeństwie kwestami na światło i inne potrzeby kościoła.

Drobne miedziaki, których nikt nie kwituje i nikt nie liczy, stanowią jednak poważną rubrykę w budżecie ludzi, których potrzeby materjalne są stale ograniczone do minimum, a potrzeby kulturalne sprowadzone do zera. Tymczasem wszelkie dążenie do zaspokojenia tych ostatnich, choćby w formie elementarnej nauki dla dzieci, rozbijają się o brak środków. Żywiołowy pęd do oświaty, który się dał odczuć na wsi w latach 1905 i 1906-ym odsłonił nam te stosunki. Zewsząd domagano się zakładania szkół i dostarczania sił nauczycielskich, lecz o pomieszczenie dla szkół było trudno, a co do wynagrodzenia nauczycieli w wielu gminach więcej niż na 20 rb. miesięcznie nie było można liczyć.

To też artykuły p. Nocznickiego i wywołana przez niego dyskusja nie mogą przejść bez wrażenia i bez rezultatu. Zwolna muszą się ludziom otwierać oczy na źródła ich niemocy i upośledzenia, na hamulec dobrobytu i oświaty. Zwolna też pod naporem oświeconych włościan, którzy wpływ i posłuch wśród swych braci zdobędą, musi nastąpić sanacja coraz bardziej zaognionych, między plebanją a chatą, stosunków.

Naturalnie nie obejdzie się bez zajadłej walki.

Już dziś obok korespondencji rzeczowych, otrzymuje redakcja *Zarania* bezimienne listy z pogróżkami za poruszenie tej niebezpiecznej i drażliwej, a tak wielce popularnej kwestji.

Na pozór zdawaćby się mogło, że proponowana reforma nie mieści w sobie nic tak dalece przewrotowego, by samo duchowieństwo nie miało jej w pewnej mierze sprzyjać. Zamiana zarówno dochodów, jak wydatków niestałych i nieokreślonych na stałe i określone jest wszędzie i zawsze poczytywana za rzecz dogodną i pożądaną, za pewnego rodzaju postęp gospodarczy. Niewątpliwie też znalazłby ona mogła poparcie wśród najlepszych jednostek z pomiędzy duchowieństwa, wśród poczciwych, skromnych, bezinteresownych i całkiem swym owieczkom oddanych pasterzy.

Jednakże dla ogółu księży reforma ta przyniosłaby już nie tylko materjalny uszczerbek lecz znaczne podkopanie ich władzy, ich nieodpowiedzialnego

przed nikim stanowiska. Ksiądz, opłacany stale przez parafjan byłby ich funkcjonarjuszem o ściśle określonych względem nich obowiązkach. Ksiądz, ściągający opłaty za poszczególne usługi kościelne w tych chwilach życia, gdy one są wedle prawa i zwyczaju niezbędne—jak chrzest, ślub, pogrzeb, — ma swych parafjan, w ręku; są oni na jego łasce i niełasce. Stosunek zależności się odwraca; a wszelkie — tak gorszące — targi odbywają się w najniekorzystniejszych dla płacącego warunkach.

Reformy proponowane przez korespondentów *Zarania* musiałyby doprowadzić do demokratyzacji parafjalnych stosunków i staćby się mogły bardzo doniosłym przełomem w życiu wsi polskiej.

Dlatego też właśnie należy się spodziewać gromów potępienia na głowy śmiałków, którzy taką zuchwałą *herezję* wygłosili. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będą oni w pierwszym rzędzie oskarżeni o podleganie wpływom marjawitów, o chęć odszczepieństwa, może nawet o świętokradztwo, gdyż nie ręką wprawdzie lecz piórem targnęli się na najnietykalniejszą świętość, najbardziej niezgłębioną tajemnicę—na misterja proboszczowskich rachunków.

I. Moszczeńska.

NA DOBIE.

Dwa jubileusze

Kraków 23/X 1909.

Ostatnie dni w Krakowie obfitowały w uroczystości mieliśmy jeden po drugim dwa jubileusze: Słowackiego 16 i 17 — i jubileusz Muzeum Narodowego w d. 19-tym października. Oba nie poruszyły ogółu mieszkańców, każdy odezwał się echem wśród innych sfer.

Jubileusz Słowackiego! oczekiwało się go, jak święta narodowego. Zakaz ks. Puzyny zrewoltował zda się całe społeczeństwo, wszak nawet księża niektórzy wyrażali się, że jest on nieracjonalny, mówiło się w różnych sferach, że właściwie Puzyna zgodziłby się na pochowanie Słowackiego na Wawelu, tylko czeka delegacji, zdawało się, iż sam się opatrzył, że zrobił głupstwo. Tymczasem jednak policja miała posterunki przy jego pałacu i słusznie, czy niesłusznie kołatało się po ludziach przekonanie, że tłumne pochody mogłyby doprowadzić z nią do starcia.

Z tego, czy z innego powodu Komitet jubileuszowy Słowackiego okazywał się dziwnie chwiejnym i niezdecydowanym co do tych punktów programu, któreby mogły nadać więcej ostentacji obchodowi. Wiele mówiono o pochodzie z wieńcami; pewnego dnia pisma już podały wiadomość, kto i gdzie ma przemawiać. Tymczasem ostatecznie sprawa spaliła na panewce. Wprawdzie wydano nawet odezwę do ludu, aby zjeżdżał na obchód do Krakowa, podpisaną przez ludzi najrozmaitszych barw i stronnictw, ale ostatecznie zaniechano jej rozpowszechniania. Sfery gorętsze proponowały pochód z kościoła Marjackiego na Wawel, a stamtąd dopiero po zamanifestowaniu niezadowolenia, że nie z trumną wieszcza tylko z wieńcami tam się idzie, do kościoła Św. Anny, gdzie jest tablica pamiątkowa Słowackiego. Projekt ten jednak został odrzucony, czemu się zresztą dziwić nie można, bo w Komitecie nie brakło i przedstawicieli sfer bardzo katolickich.

Ostatecznie Tow. Szkoły Ludowej i Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza postanowiły zająć się włościanami, których należało się spodziewać w niedzielę. Rano tegoż dnia odbyło się nabożeństwo, poświęcone pamięci Słowackiego, w kościele Marjackim, i tam było ze dwustu włościan i dzieci ze szkół wiejskich. Chłopi krakowscy wystąpili jak się patrzy w strojnych sukmanach, kobiety bajecznie kolorowe, przy wieńcach wstęgi krakowskie, aż dusza rośnie... tylko że o Słowackim mówili różnie, np. że to patron polski.

No, nie wszyscy; — jedna włościanka nawet wiele jego utworów czytała, jako żona inteligienta. Byli wśród chłopów i tacy, którzy o Puzynie nawet wiedzieli — ale co? dlaczego?

W dniu pierwszym jubileuszu odbyło się nieliczne zresztą zebranie przedstawicieli literatury i sztuki, którzy mieli utworzyć Towarzystwo literackie imienia Słowackiego, ale ostatecznie poruczyli to tej samej komisji, która dała inicjatywę i na zebranie zapraszała Towarzystwo ma zająć się wydawnictem dzieł poety i wystawieniem jego pomnika w Krakowie.

W teatrze miejskim było uroczyste przedstawienie „Złotej Czaszki", w ludowym dawano „Mindowe",

W każdym razie w przemówieniu przed kościołem Św. Anny, do którego prosto z Marjackiego ruszono, Dr. Wróbel gorąco zapewniał, że lud polski jest tym kapłanem, który przechowuje w sercach cześć dla Słowackiego, poczym pobożnie życzył sobie i innym uczestnikom jubileuszu, aby „Opatrzność pozwoliła doczekać chwili, gdy ciało wieszcza wniesione zostanie na Wawel".

W południe otwarto wystawę Słowackiego, zawierającą niektóre po nim pamiątki i dzieła sztuki plastycznej, natchnione przez jego muzę. O trzeciej odbyło się przedstawienie „Kordjana" w teatrze ludowym, poprzedzone odczytem, a bilety na tę uroczystość rozdawano włościanom. O szóstej zaś Uniwersytet Ludowy urządził obchód z odczytem, śpiewem chóralnym i deklamacją.

I to już wszystko? Nie; w teatrze sprzedawano kartki iluminacyjne z portretem Słowackiego i zbierano przy stolikach na rynku składki na jego pomnik, dzienniki krakowskie numer sobotni poświęciły poecie. Ale z tym wszystkim — w Krakowie panował chłód jakiś nieokreślony, coś, co najzupełnej stwierdza powiedzenie Słowackiego, o „niepłakanej trumnie"—ale zarazem przypomina i „tę siłę fatalną", która niewidzialnie gnieść nie przestaje, tylko się jej potędze nie wszyscy radzi podają. Coś jakby szło z oddali i miało zwalić się na dusze ospałe.

Zagotował się żywot w każdej trunie,
Zniedokwasiła się zgnilizna, słucha
I wstaje. „Kiedyż, o, boży zwiastunie,
Gołębiu, który szepcesz mi do ucha
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę.

„Beniowski". Pieśń XII).

We dwa dni po oficjalnie naznaczonym Jubileuszu Słowackiego odbywała się uroczystość 25-lecia Muzeum Narodowego.

Naturalnie... nabożeństwo, tym razem z pięknymi chórami, a w prezbiterjum krzesła, na których uroczyście zasiadali uczestnicy jubileuszu. O godz. 11-stej Dr. Kopera odczytał krótką historję Muzeum i projekt rozmieszczenia zbiorów w zamku Krakowskim. Na tę najważniejszą część uroczystości nie dopuszczano kobiet; tylko cztery przyjezdne dostały się tam na skutek energicznego protestu przeciw ograniczeniu, w każdym razie dość archaicznemu. Czyby starożytności muzealne tak silny miały wpływ na psychikę ludzką? Motywowano postanowienie tym, że dopuszczenie kobiet do uroczystości powiększyłoby znacznie grono uczestników. To grono istotnie było małe, a zainteresowanie jubileuszem i co za tym idzie samym muzeum nie wyszło poza naukowo-artystyczną „śmietankę„ Może słusznie, a może i nie, bo frekwencja w muzeum jest bardzo słaba i to nawet w niedziele, gdy opłata za wejście wynosi 10 centów. Możnaby więc starać się pociągnąć szersze masy. *Wł. W.*

Protest Polaków.

Rada do spraw gospodarki miejscowej stała się widownią tak jaskrawych wybuchów rosyjskiego nacjonalizmu, że nawet wybrani i zaproszeni przez rząd polscy uczestnicy obrad nie mogli znieść do końca atmosfery otoczenia, w którym ich zaufanie władzy postawiło. Usuwając się więc od dalszego uczestnictwa ogłosili następujący protest:

„Zaproszeni przez rząd do wzięcia udziału w pracach Rady do spraw gospodarki lokalnej w kwestji wprowadzenia do 9 guberni Zachodnich Ustawy ziemskiej z r. 1890 jako przekonani zwolennicy idei państwowej, chętnie usłuchaliśmy wezwania w przypuszczeniu, że prace Rady będą miały na względzie interes samorządu, oraz przystosowanie tego samorządu do warunków obyczajowych i do kulturalno-gospodarczych potrzeb lokalnych dzielnic Zachodnich.

Okazało się wszakże, iż nasze przewidywania były mylne. Wniosek ministerjum spraw wewnętrznych, mimo ostrzeżeń wstępnej mowy p. prezesa ministrów, wywołał taki nastrój i dał pole do tak jaskrawych objawów wyłączności narodowej ze strony większości członków Rady do spraw lokalnych w jej obecnym składzie, że obrady nabrały nietyle charakteru przedmiotowego rozważania wniosku, ze stanowiska interesu państwa i ziemstwa, ile częstokroć bezwzględnego wylewu uczuć niechęci do ludności polskiej gubernji Zachodnich. Rozbrzmiały mowy, pełne wycieczek osobistych i obrażające nasze uczucia narodowe i religijne.

Wprowadzenie w życie tego, co uchwaliła większość Rady, doprowadziłoby z jednej strony do poddania nietylko ludności polskiej, ale i mas włościańskich szczególniej uprzywilejowanym kierownikom działalności ziemstwa, a z drugiej do podkopania podstaw moralnych, będących ostoją społecznego i politycznego życia kraju.

Stwierdzając z ubolewaniem ten charakter rozpraw Rady, odjeżdżamy do kraju rodzinnego z uczuciem goryczy i żalu, z nadzieją tylko, że poczucie państwowe narodu rosyjskiego wyrobi przekonanie o niemożliwości wprowadzenia w życie zasad, którymi rządziła się większość Rady".

Protest ten żywo przypomina dawniejszą deklarację posła do Rady Państwa Korwina Milewskiego. Gorycz, żal, rozwiane złudzenia, sparaliżowane usiłowania, mroem zwarzone sentymenty łojalizmu — oto czym się kończą w obecnych warunkach wszelkie próby ugodowej polityki ze strony Polaków.

Wszystko to wiąże się w jedną logiczną całość, która mogłaby stanowić ciąg dalszy znanej broszury p. Piltza snując łańcuch faktycznych dowodów nam dawno znanej prawdy, że to co nazwano u nas realizmem politycznym, jest utopją najszkodliwszą, jest marzycielstwem najgorszego rzędu, bo pozbawionym wzniosłości i polotu.

Ludzie mianujący się „zwolennikami idei państwowej" — jako tacy zaszczyceni wyborem rządu, który przecież swym zaufaniem nigdy Polaków na oślep nie obdarza, okazali się zmuszeni bronić swej narodowej godności, solidarnym protestem i usunąć się ze środowiska, w którym narażeni byli tylko na bezcelowe udręczenie.

Czyż można skuteczniej — zwalczać oportunizm polski i pchać wszystkich Polaków do obozu nieprzejednanej opozycji, niż czyni to obecnie rosyjska prawica?!

Jakże jednak silnego smagania potrzeba naszym realistom — utopistom, by oprzytomnieli i trzeźwym okiem ogarnęli rzeczywistość! Mimo doznanych w łonie onej nacjonalistycznej komisji rozczarowań, wracają do domu z nadzieją, że „poczucie państwowe narodu rosyjskiego" — stanie się jakoby czynnikiem odrodzenia i reformy. Zawsze ta sama naiwność, zawsze te same à la Piltz wykłady mądrości stanu na użytek rosyjskich polityków, to rozwiązywanie *kwestji rosyjskiej* dla Rosjan, przez tych którym w pierwszym rzędzie jako obrońcom i przedstawicielom *kwestji polskiej* występować przystoi, a nawet z urzędu należy.

Uczucie goryczy wyrażone w proteście zrozumie i podzieli każdy, lecz nadzieje autorów tylko uśmiech ironji wzbudzić mogą.

Kursa rolnicze dla włościan.

W połowie bieżącego miesiąca zostaną otwarte w Sokołówku pięciomiesięczne kursa rolnicze dla młodzieży włościańskiej.

Pragnienie oświaty jest już dziś na wsi tak żywe, a zrozumienie potrzeby fachowego przygotowania do pracy na roli tak daleko postąpiło, że jedna na cały kraj szkoła w Pszczelinie nie może wystarczyć i z utęsknieniem oczekiwana jest chwila otwarcia zapowiedzianej szkoły rolniczej w Sokłówku.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba było tymczasem uczynić zadość najpilniejszej potrzebie i postanowiono spożytkować miesiące zimowe dla przeprowadzenia kursu wykładów, obejmujących rolnictwo, ogrodnictwo, sadownictwo i pszczelnictwo. Na opłacenie kosztów włościanie różnych okolic kraju z własnej inicjatywy kopiejkowymi składkami zebrali 600 rubli.

Opłata od słuchaczy wynosi 5 rb. miesięcznie za naukę i utrzymanie. Zaiste — nie można sobie wyobrazić skromniejszych warunków, choć łatwo zrozumieć, że tylko przy tak nizkiej opłacie nauka staje się dostępna tym, którzy jej najbardziej potrzebują, gdyż gospodarują w najtrudniejszych warunkach.

BADANIA NAUKOWE.

Na początku ery naszej.

(Ciąg dalszy).

IV. Trzy partje znalazły się naprzeciw siebie.

Partja Aleksandra i Atanazego, zmierzająca do przyznania Jezusowi wszelkich bez ograniczenia właściwości Bóstwa, a więc uczynienia z niego drugiego Boga. Była ona w znacznej mniejszości. Dodawał jej powagi i znaczenia Hozjusz.

Partja Arjusza, również małoliczna, wszakże panująca nad przeciwną zapałem i odwagą.

Partja średnia, lecz właściwie nie neutralna, skłaniała się bowiem ku arjanizmowi, unikała atoli zerwania ostatecznego z jego przeciwnikami. Stanowiła ona większość zgromadzenia.

By prędzej zbliżyć się do zakończenia sporu, członkowie większości podali wniosek, żeby się zgodzić na proste oświadczenie, że „Syn pochodzi od Ojca". Zwolennicy Arjusza przyjęli tę formułę. Atanazy zaś i jego zwolennicy odrzucili ją, jako zbyt nieokreśloną, twierdząc, że „o wszystkim, co istnieje powiedzieć też można, że pochodzi od Boga"... Wtedy podano formułę taką: „Syn powstał z substancji Ojca". Kiedy Arjanie również się zgadzali na nią, dopowiadając sobie w myśli, że wszystkie stworzenia wychodzą z substancji ojca, Atanazy i jego zwolennicy przedstawili znowu inną: „Syn jest współistotny

z Ojcem" (homouzios to patri = consubstantionalis patri), ażeby raz na zawsze przeciąć wszelką dwuznaczność i niedomówienia ponętne Arjanom, mniej lub więcej odsłaniające lub zakrywające przepaść, dzielącą Syna od Ojca. Arjanie wtedy odrzucili termin *homouzios* jako nieznany w Księdze Świętej i jako zabarwiony Sabellianizmem. Opozycja trwała zawsze niezwalczona.

Wtedy to owi średni podali jeszcze nową formułę: „Jezus jest *słowem* bożym, Bogiem powstałym z Boga, światłem powstałym ze światła, życiem powstałym z życia, pierworodnym z całego stworzenia, zrodzonym przez ojca przed wszystkimi czasy". Sabelliusz został w niej przedewszystkim potępiony. *Homouzja*— zamilczana.

Lecz właśnie owa *homouzja* stała się już hasłem walki. Zamilczenie o niej, to jest, milczące jej odrzucenie, samo przez się świadczyło o zwycięstwie Arjanów, a o ustępstwie, lub nawet porażce zwolenników Aleksandra, stronników Atanazego.

Formuła środka mogłaby się wszelako utrzymać i większością głosów zostać przyjętą.

Konstantyn atoli, przewidując, że bez *homouzji*, to jest, zamilczeniu o niej lub jej odrzuceniu, nie dojdzie nigdy do zgody ze strony tych, których istnienie zależało od zupełnego, nieograniczonego niczym zrównania Jezusa z Jehową, upomniał się o ten wyraz i tak wyjaśniał podstawy swego wystąpienia: „Syn zawsze istniał, albowiem, przed swoim narodzeniem, on już istniał wewnętrznie w ojcu. Ojciec przeto zawsze był ojcem, jako Syn był zawsze wewnętrznie Królem i Zbawcą".

Nad nowym sposobem istnienia nie zastanawiano się długo. W ostateczności przymiotnik *homouzios* został przyjęty i taki *symbol* wiary uchwalony:

„Wierzymy w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, stworzyciela wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

„I w jednego pana Jezusa Chrystusa, syna bożego, jedynego, zrodzonego z ojca, to jest, z istoty (substancji) ojca, Boga z Boga, światło ze światła, prawdziwego Boga z prawdziwego Boga, zrodzonego lecz nie stworzonego, współistotnego (homouzjon) z ojcem; przez którego wszystko powstało, jako na niebie tak i na ziemi, który zstąpił dla nas ludzi i dla naszego zbawienia, który przyjął nasze ciało i stał się człowiekiem; który cierpiał, który zmartwychwstał dnia trzeciego: wstąpił na niebiosa; który powróci sądzić żywych i umarłych.

„I w Ducha świętego."

Poparte władzą imperatorską *homouzios* zwyciężyło. Dołączone do imienia Jezusa miało na przyszłość oznaczać, że on, będąc synem Jehowy, pomimo swego synostwa niczym się nie różni od niego i jest mu współistotny i wieczny, jak on sam.

Należało przytym zwrócić się do przeciwników owego *homouzios.* Postanowiono dalej: „Co się zaś tyczy tych, którzy mówią: „był czas, kiedy Jezusa nie było jeszcze" i „nie będąc jeszcze zrodzonym, nie był", i „on jest stworzony z niczego"; albo tych, którzy utrzymują, że syn boży jest z innego początku lub z innej istoty, że on był stworzony, albo może podlegać zmianie lub przeistoczeniu, kościół katolicki i apostolski na nich rzuca przekleństwo."

Tryumf hierarchji został wraz z tą uchwałą zapewniony. Dwie władze, państwowa i kościelna, zrozumiawszy swój interes, połączyły swoje siły. Państwo nadawało moc uchwałom Soboru. Ponieważ Konstantyn pożądał przedewszystkim spokoju, hierarchja ten spokój zdawała się mu zapewniać.

Lecz obie strony, licząc na spokój, tylko na bierności ludów się nie zawiodły. W stosunku ich do siebie samych, bywało rozmaicie.

W żadnym wszakże razie Sobór ten nie wprowadził też zgody w stosunki wewnętrzne. I nawet, rzec można, dalszymi były one od zgody niż poprzednio. Inną formę tylko nadał swym zwycięstwom, inaczej je przejawiał. Już nie zniszczenie nieprzyjaznego dzieła i potępienie dyscyplinarne jego autora o zwycięstwie świadczy, lecz podniesiony miecz katowski i zapalone stosy zwycięstwa dowodziły. Za niezgadzanie się z uchwalonym symbolem wiary w lat 60 po Soborze Pryscyljus został ścięty w Trawirze (385 r.).

Na *diteizm*, który tak raził w II i III stuleciu zaradzono również na tym Soborze. Wszak symbol wiary uzupełniono słowami: „i w Ducha świętego", domyślnę *wierzę.* Był to początek *triteizmu*, albo *Trójcy Św.*

Te dodatkowe, jakby naprędce rzucone wyrazy, zostały rozwinięte w późniejszym symbolu, zwanym Atanazego, lub *Quicumque,* niewiadomego autora, prawdopodobnie ucznia Augustyna, żyjącego pod koniec V-go wieku, stąd też częstokroć za utwór tego męża podawanym.

Brzmi ten symbol tak:

I. Ktokolwiek chce być zbawionym, (*Quicum vult salvum esse*) przedewszystkim starać się powinien, by wytrwać w wierze katolickiej.

II. Którą, jeśli kto czystą i nienaruszoną nie przechowa, na wieki bez wątpienia zginie.

III. Wiara zaś katolicka na tym polega, byśmy jednego Boga w Trójcy, Trójcę w jedności (Trinitatem in unitate) czcili.

IV. Nie łącząc osób, nie dzieląc istoty (neque confundentes personas, neque substantiam separantes).

V. Inna jest bowiem osoba Ojca, inna Syna, inna Ducha Świętego.

VI. Lecz Ojca i Syna i Ducha św. jedna jest boskość jednaka sława, jednaki majestat.

VII. Jaki Ojciec, taki Syn, taki Duch św.

VIII. Niestworzony Ojciec, niestworzony Syn.

IX. Niezmierzony (immensus) Ojciec, niezmierzony Syn, niezmierzony Duch Św.

X. Wieczny Ojciec, wieczny Syn, wieczny Duch Św.

XI. Wszakże nie trzech wiecznych, lecz jeden wieczny.

XII. Również nie trzech niestworzonych, nie trzech niezmierzonych, lecz, jeden niestworzony, jeden niezmierzony.

XIII. Również wszechmocny Ojciec, wszechmocny Syn, wszechmocny i Duch św.

XIV. Wszakże nie trzech wszechmocnych, lecz jeden wszechmocny.

XV. Również Bogiem jest Ojciec, Bogiem — Syn, Bogiem — i Duch św.

XVI. Wszakże nie trzech Bogów, lecz jeden Bóg.

XVII. Również Panem jest Ojciec, Panem — Syn, Panem — i Duch św.

XVIII. Wszakże nie trzech panów, lecz jeden pan.

XIX. Wskutek czego, jak każdą z osób pojedyńczo Bogiem i panem uznawać prawda chrześcijańska nakazuje, tak też utrzymywać, że są trzej Bogowie lub panowie, religja katolicka zabrania.

XX. Ojciec przez nikogo nie jest uczyniony (factus) ani stworzony, ani zrodzony.

XXI. Syn przez ojca jedynego nie jest uczyniony, nie jest stworzony, lecz zrodzony.

XXII. Duch św. przez Ojca i Syna nie jest stworzony, nie zrodzony, lecz pochodzi (od Ojca i Syna).

XXIII. Więc jest jeden Ojciec, nie trzech Ojców; jeden Syn, nie trzech Synów; jeden Duch św. nie trzech Duchów świętych.

XXIV. W tej zaś Trójcy nikt wcześniejszy lub późniejszy, nikt większy ani mniejszy, lecz wszystkie trzy osoby współwieczne sobie są i współczesne.

XXV. Tak więc przedewszystkim, jak już powiedziano, jedność w Trójcy i Trójca w jedności ma być czczona.

XXVI. Kto zatym chce być zbawiony, w taki sposób pojmować Trójcę powinien. [1])

Po uchwaleniu takich symbolów wiary Księgę Świętą zastąpiły osoby. Lecz władza i wiedza tych osób oparta była na powadze tejże Księgi Świętej.

(d. n.). *I. Radliński.*

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Wystawa towarów chałupniczych w Zurychu.

Rozwój prawodawstwa ochronnego w Szwajcarji w ostatnim ćwierćwieczu postępuje niezmiernie powoli i dziś, pod względem reform społecznych, kraj ten znacznie wyprzedziły inne kraje zachodnie. Powszechny prąd militarystyczny, panujący w dobie obecnej, przeniknął również i do Szwajcarji, pociągając za sobą ogromną zwyżkę wydatków na cele wojskowe i obciążając ogromnie budżet tego państewka. Ostatnimi laty reformy militarne wysunięto na plan pierwszy za zgodą znacznej części narodu szwajcarskiego, przez co reformy społeczne zepchnięte zostały na plan ostatni, lub zupełnie zaprzepaszczone. Między innymi i kwestja chałupnicza pozostaje po dzień dzisiejszy zgoła nierozwiązana. Co prawda — drogą inicjatywy społecznej zebrane zostały materjały, tyczące się przemysłu domowego i bytu pracowników chałupniczych, lecz nie zostały one zupełnie przez instytucje prawodawcze odpowiednio zużytkowane. Wystawa towarów przemysłu domowego, która odbyła się w roku zeszłym w Genewie podczas międzynarodowego kongresu Lig nabywców, stała się bodźcem do dalszej pracy w kierunku regulowania stosunków, panujących w tej dziedzinie produkcji. Niedawno odbyta ogólno-szwajcarska wystawa takich towarów w Zurychu unaocznila istniejący stan rzeczy, potwierdzając raz jeszcze regułę bezwzględnego i niczym niehamowanego wyzysku pracy domowej i zobrazowała byt chałupników, będących obecnie ostatnio-rzędną i najbardziej upośledzoną kategorją robotników. Zarówno u nas, jak i gdzieindziej, ich stan materjalny i społeczny daje się porównać jedynie do tragicznego położenia tkaczów w zaraniu ustroju kapitalistycznego. Podobnie i oni wydziedziczeni są ze wszystkich dóbr współczesnych, wyklęci i wiecznie przykuci do stołka i wyrzuceni poza nawias prawa.

Chałupnictwo w Szwajcarji, dzięki słabemu rozwojowi przemysłu wielkiego, w niektórych gałęziach produkcji przeważa zupełnie, w innych zaś panuje na równi z innymi systemami wytwórczości. Ogólna liczba pracowników domowych, według danych statystycznych z roku 1905, wynosi 92,136, zatrudnionych w 70,875 pracowniach — (liczby te nie obejmują jednak dzieci poniżej lat 14, które zazwyczaj stanowią około $1/3$ ogółu chałupników). W stosunku do ogółu robotników, zajętych w gałęziach przemysłu, w których istnieje chałupnictwo, liczba pracowników domowych wynosi przeszło 25% a $2^1/_2$% całej ludności szwajcarskiej. Praca kobiet w chałupnictwie w Szwajcarji, zresztą jak i gdzieindziej, jest szeroko zastosowana; liczba pracownic w stosunku do ogółu chałupniczego wynosi przeszło 70%. System pracy domowej jest najbardziej rozwinięty w przemyśle włóknistym, zegarmistrzowskim i w konfekcji damskiej i dziecinnej. Warunki pracy chałupniczej w Szwajcarji niczym się nie różnią od warunków, panujących gdzieindziej; potwierdzają jedynie stan rzeczy, ujawniony na genewskiej wystawie międzynarodowej, zobrazowanej w swoim czasie na tym miejscu w świetle szczegółowych cyfr i faktów.

Wystawa zuryska, ściśle wzorowana na podobnych, urządzanych kolejno we wszystkich wielkich centrach europejskich, odegrała rolę poglądowej lekcji społecznej, zwracając jeszcze raz uwagę powszechną na stosunki panujące w chałupnictwie, które nietylko że nie zostały uregulowane w granicach możliwości, lecz nawet w wielu krajach ani nie zbadane gruntownie, ani nie wyświetlone należycie.

Henryk Lukrec.

LITERATURA i SZTUKA.

G. Lowes Dickinson: **Nowa Biesiada**. „A modern Symposium". Z ang. przełożył E. S. Naganowski. Lwów. H. Altenberg (Wiedza i Życie. Serja IV. Tom. IV.)

Nazwisko autora jest u nas nieznane. Bardzo dobrze jednak zrobiono, wydając tę książkę, gdyż daje ona ciekawy obraz myśli nowożytnej w djalektyce nadzwyczaj zręcznej, wprost sofistycznej. Autor doszedł do tak wysokiego objektywizmu, że umie przedstawić trzynaście rozmaitych poglądów na świat a za każdym razem jest o tyle bezstronny, że dopóki słuchamy danego mówcy, wszystko co on wykłada zdaje nam się prawdą — i dopiero kiedy drugi zaczyna swoje, widzimy jak łatwo obalić twierdzenia poprzedniego. Jakich zaś przekonań jest sam autor — nie wiemy do końca; tak się umiał doskonale uprzedmiotowić. G. L. Dickinson nazwał swoją książkę *Biesiadą* na wzór Platona, gdyż tu jak i tam każdy z gości po kolei rzecz swą opowiada. Jednakże nie miłość jest przedmiotem rozmowy, tylko sprawy polityczno-społeczne. Trzynaście osób bawi u autora, w jego willi podmiejskiej — i na życzenie gospodarza każdy wypowiada esencję swoich przekonań.

Nie jest to praca filozoficzna ani artystyczna, jak w Biesiadzie Platona; — jest to dziennikarstwo wysokiego stylu, traktowane w sposób oderwany, t. j. bez nacisku ze strony autora na wyższość lub niższość któregobądź poglądu. Jedno zastrzeżenie nasuwa się samo przez się: autor pisze dla Anglików i maluje stosunki angielskie, które zawsze są odrębne od kontynentalnych — i wydają nam się nieco obce i szczególne. Tak np. Francuz niewątpliwie poruszyłby sprawę klerykalizmu, wiary i niewiary. Anglik nie zna tej kwestji: tu, najdalej idący socjalista czy anarchista mówi tak samo o Bogu, Wielkiej Istocie, Opatrzności — jak kwakier lub torys; wogóle niewiara jest *mauvais genre*, a wszyscy goście p. G. L. Dickinsona— są to przedewszystkim ludzie dobrze wychowani, którzy w najgwałtowniejszych wybuchach znajdują pewną miarę i takt zarówno *gentlemanów* jako też i ludzi, przywykłych do trybuny publicznej.

[1]) Tak nazywany *Symbol* albo *skład wiary apostolski*, nie jest utworem apostołów, za jaki uchodzi. Jest znacznie późniejszy od czasów apostolskich i pochodzić może z IV-go wieku.

Po raz pierwszy spotykamy wiadomość o nim w dziele Rufina, kapłana z Akwilei (zm 460 r.) w jego dziele p. t. *Expositio in Symbolum Apostolorum.* Oto, co on o tym symbolu opowiada: „...Apostołowie po wniebowstąpieniu Jezusa i zesłaniu Ducha św. w kształcie języków gorejących, w chwili rozłączenia się w celu opowiadania Ewangielji wszystkim narodom, ułożyli wspólnie podstawy przyszłego nauczania swego..." W dziełach Ambrożego (zm. 398 r.) natrafiamy na ślady takiego podania. W V i VI stuleciu ono się jeszcze bardziej komplikuje. Staje się nawet wiadomym, co każdy apostoł wkłada w ten symbol: Piotr rzekł: Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego. Jan: Stworzyciela nieba i ziemi; Jakób: I w Jezusa Chrystusa i t. d.

Pierwszy przemawia lord Cantilupe, konserwatysta starej daty, który wycofał się z życia politycznego, ponieważ nie podoba mu się nowa Anglja, w której przemysł unicestwił rolnictwo, miasto pożarło wieś, w której znikły stosunki patryjarchalne — i zapanował błąd równości, zasada przeciw naturze. — Remenham, liberał, występuje w obronie zasad równości (i wolnego handlu), gdy Mendoza, Żyd, przedstawiciel neo-konserwatyzmu, przemysłowiec, walczy z Cantilupem, wrogim industryjalizmu, ale zarazem miarkuje zapędy liberała, wykazując braki nowoczesnego ustroju; żąda on pomocy państwowej dla robotników i wbrew liberałom — chce ustanowić opiekę nad proletarjatem i regulację nędzy w dzisiejszym społeczeństwie. Wówczas przemawia Allison — socjalista, który obala twierdzenia poprzednich mówców — i protestuje przeciw filantropji Mendozy; proletarjat sam ureguluje swoją sprawę, on sam stanie na czele państwa, a będzie to państwo urządzone jak zegarek — i wszyscy będą zadowoleni. Na to odzywa się Mac-Carthy, Irlandczyk, anarchista — i obala socjalizm mechaniczny Allisona, to państwo maszynowe, w którym zginie dusza ludzka; w imieniu duszy — wola on o swobodę indywidualną, która ma rzekomo zniknąć w socjalizmie.

Ściśle biorąc, poglądy polityczne tutaj się kończą; przemawiają później rozmaici ludzie, ale ze stanowiska ogólniejszego, np. ze stanowiska historji kultury (H. Martin, profesor), ze stanowiska nowoczesnej wiedzy ścisłej (K. Witson, przyrodnik), ze stanowiska ogólnie wykształconego człowieka (Artur Ellis dziennikarz), ze stanowiska poetyckiego (Coryat), ze stanowiska człowieka pozbawionego wiary w jakibądź postęp (F. Andubon, aferzysta), ze stanowiska estetyki w stylu Ruskinowskim (Sir John Harrington, wielki pan); ze stanowiska religji pokory, (kwakier, który wykłada coś w rodzaju Towiańszczyzny lub ewangielji Tołstojowskiej). Wreszcie *mot de fin* wygłasza literat Godfryd Vivian, który filozofuje na temat wiecznego stawania się i przetwarzania człowieka — i jako ideał wskazuje syntezę przyszłą chrześcijanizmu z pogaństwem.

Książka ta jest to świetny feljeton, ułożony przez bardzo sceptycznego człowieka, który z dobroduszną ironją porusza swe marjonetki—każe im wygłaszać tyrady bardzo mądre, a łatwe do rozbicia jak puch; co też bez trudu czyni jeden mówca po drugim, a zakończenia właściwie niema — i oczywiście być nie powinno.

Czytelnik niech wybiera, co mu najlepiej do smaku przypada.

Książka — bądź jak bądź — jest bardzo dobrze pomyślana — i ułożona w sposób interesujący.

Tłumaczem jest p. Naganowski, który długo mieszka w Anglji i popełnia rażące błędy językowe, mówiąc stale np. *publiczna opinja*, *Zjednoczone Stany*, *polityczna ekonomja*, *nauki wartość*, *władzy powaga* i t. d. Co znaczy po polsku *czestny*, *czestno*—niewiadomo.

Redakcja wydawnictwa *Wiedza i Życie* powinna była błędy te usunąć.

Z. Kw.

Władysław M. Kozłowski: **Jak czytać utwory piękna.** (Literatura piękna jako źródło wykształcenia). Warszawa, 1909, str. 358.

Celem książki, jak autor sam powiada w przedmowie, jest wskazać skarby ukryte w literaturze wszechświatowej i naszej i pouczyć czytelnika w jaki sposób może z nich korzystać dla pogłębienia własnej umysłowości i ustalenia wymagań, jakie stawiać powinien literaturze. W tym celu, zasięgając rad i wskazówek u kilku specjalistów, zestawia p. K. w każdym rodzaju literatury dzieła po wsze czasy godne czytania i studjów, zastanawia się nad stosunkiem czytelnika do autora, daje przykłady jak czytać i czego szukać w utworach poetyckich (biorąc za przykład lirykę Konopnickiej i poezje filozoficzne Schillera), przechodzi wszystkie rodzaje literatury pięknej, dochodząc wreszcie do zestawienia poezji i życia.

Książka jest istotnie bogatą w treść, a wielkie oczytanie autora i obszerna jego wiedza pozwalają nam zapoznać się również z sądami szeregu najlepszych pisarzy angielskich o krytyce literackiej i czytelnictwie.

Jak z poprzednich prac p. K. należało się spodziewać, sądzi on utwory literackie przedewszystkim ze stanowiska idei, jakie rozwijają i pobudek etycznych, które stanowią. Zastrzega się wprawdzie, że najpiękniejsza idea musi być przybrana w piękną formę, jeżeli ma przetrwać wieki i stać się pobudką natchnień i czynów, wyraźnie jednak zaznacza się wszędzie, że sam autor mniej odczuwa i ocenia piękną formę niż treść. Niezmordowany nauczyciel i interpretator, jakim jest p. K. w nauce, filozofji i literaturze pięknej, chciałby i nasze zamiłowane w formie i przeczulone wobec pięknego słowa społeczeństwo pobudzić do szukania w utworach literackich przedewszystkim treści i myśli podniosłych i głębokich.

Książka zawiera mnóstwo cennych wskazówek, informacji pierwszorzędnych, świadczy o wielkiej erudycji autora i gorącym pragnieniu wprowadzenia czytelnika w poważne myślenie, odciągnięcia go od pogoni za nowością i sensacją.

Jest też ciągiem dalszym dawniejszych wskazówek autora (Co i jak czytać należy), które tak szeroko, bo już w czterech wydaniach rozeszły się wśród czytającej publiczności *Z.D.-G.*

Z MUZYKI.

Koncerty orkiestry symfonicznej księcia Lubomirskiego.

Nie referowałem pierwszych występów *zorganizowanej*, na życzenie ks. Lubomirskiego, przez p. Fitelberga nowej orkiestry symfonicznej, pragnąc wypowiedzieć się bez zastrzeżeń o „nowym kursie" koncertów w gmachu b. Filharmonji. Mówię o nowym kursie — wobec faktu usunięcia się z tej sprawy spekulantów i akcjonarjuszów oraz złożenia dyrektywy artystycznej sezonu w ręce *muzyków z powołania* i zawodu. Podstawa materjalna bytu orkiestry spoczywa w zapomodze ze strony ks. Lubomirskiego, tak, że nawet kontrakty z muzykami p. Fitelberg zawarł w imieniu księcia, jako materjalnego gwaranta.

Kontrakt i regulamin orkiestry został ułożony za pośrednictwem „Zw. muzyków". Kierownictwo artystyczne z zupełną władzą zwierzchniczą zdał książę na p. Fitelberga, zastrzegając w kontrakcie członkom orkiestry możliwe ulgi, zapewniające im wypoczynek i względne zabezpieczenie na cały sezon. Na repetycje oznaczona jest minimalna i maksymalna ilość godzin (3—5); każdy muzyk ma zarezerwowane wolne wieczory, za występy i repetycje nadprogramowe i za wyjazdy na koncerty otrzymuje dodatkową dopłatę. Chorzy pobierają pensję do określonego czasu.

W razie przewyżki dochodu po bilansie rocznym, pozostała suma będzie rozdzielona pomiędzy członków orkiestry. Regulamin zapobiega dysharmonji i niesnaskom pomiędzy niesfornym *gens irritabile*.

* * *

A teraz co do ducha i jakości orkiestry.

Można powiedzieć, że jest to orkiestra „młodych”. Nie widzimy tu starych, znużonych artystów. Pulpity są obsadzone bardzo oględnie i umiejętnie. Instrumenty dęte, perkusyjne i drewniane znakomicie są ustosunkowane. Ogólne brzmienie zespołu jest jędrne, czyste *pewne*. Niema tej nieznośnej matowej barwy, mgły—cechującej znużenie muzyków i niesubtelność ucha dyrygienta. Przy tych warunkach p. Fitelberg może przebrnąć najtrudniejsze rafy rozczochranej fantazji Straussa i krystalicznej przejrzystości Bacha lub Brahmsa—autorów, którzy wypełnili cały wieczór 2-go symfonicznego koncertu. Dwa kontrasty: gotycki Bach i medernistyczno-rokokowy Strauss! „Kompozytor śmiało ilustruje dziejo Don Kichota” — swoją nieposkromioną fantazją: zmienia dowolnie rytmy, operuje dysonansami z satyrycznym wprost natrząsaniem się nad uchem starego muzycznego burżuja. Wszędzie prześwieca wyraz silnej woli gienjusza: „tak brzmieć może i musi, bo ja tak słyszę”. Wielki reformator poglądu na dysonans, swoją drogą, naraża się na te same zarzuty, co i Bethowen—ze strony kontrapunkcisty Webera i innych, którzy zatykali uszy podczas 9 symfonji.

Nasi krytycy — no... kręcą nosem i w sprawozdaniu nazywają dysonanse „rykiem, piskiem i fałszami”. Pomimo to naogół krytyka i publiczność przyjęły Straussa owacyjnie.

Względnie słabiej (w cz. I) przeszedł koncert Bacha. Przypuszczam, ze wpłynęło na to ogólne nieusposobienie orkiestry, która na początku wieczoru nie czuła jeszcze zapału i rozmachu.

Dla ścisłości kronikarskiej zaznaczam, że... w sali nie było zbyt ciasno... Ano—nie dziwmy się; w „Momusie” i gdzieindziej, dawano premjerę kupletów o „sztywnych promieniach” — tak wesołą, że „mężczyźni ze śmiechu... spadali z krzeseł”...

Kochasz sztukę—kabaretowa Warszawko!

Antoni Miller.

Z prasy rosyjskiej.

Książe Trubeckij w ostatnich numerach swego pisma poświęca bardzo dużo miejsca analizie obecnego stanu Rosji. Wśród chaosu i szału sił burzących, rozkładowych napróżno szuka czynników twórczych, budujących państwo. Wykazawszy, że nawet tak silne wtrząśnienie państwowe, jak wojna ostatnia, bynajmniej nie otrzeźwiło rządu i nie powstrzymało procesu rozkładowego, pisze ks. Trubeckij między innymi:

> W rezultacie, po wojnie widzimy u nas dawny obraz. Wstecznicy organizują pogromy, zabójstwa, popierają system rabunków urzędniczych i prowadzą na kresach państwa politykę niemiecką. Liberałowie różnych nazw i kategorji są bezczynni, małoduszni, znikczemniali. Rewolucjoniści niszczą. Nasuwa się pytanie: któż buduje Rosję, kto ją ratuje? Może kościół, który kiedyś zbierał dokoła siebie ziemie rosyjskie?... Lecz czyż nie jest jasnym, iż kapłani nasi oczekują zbawienia kościoła i państwa rosyjskiego od policji? A w takim razie, czegóż się spodziewać mamy po Chrystusie, któregośmy zapomnieli? Czyż uratowała nas policja od pogromu japońskiego i anarchji wewnętrznej? Czyż chwila obecna nie jest dla nas tylko nowym odroczeniem strasznego sądu dziejowego?
>
> Jak długo potrwa obecne „milczenie Opatrzności“ — tego, oczywiście, nie wiemy i nie możemy wiedzieć. Lecz przed sądem dziejowym w każdymbądź razie nie ujdziemy. Już się zbierają nowe chmury na Dalekim Wschodzie. Dzienniki przepełnione wiadomościami o zbrojeniach Chin, o masowych przesiedleniach Chińczyków nad granicą rosyjską, o wciąż wzrastających z ich strony wobec nas wymaganiach i „zuchwałości“, — wreszcie o ich konwencji militarnej z Japonją, o czym pertraktacje, zdaje się, już rozpoczęły.. Niebezpieczeństwo grozi w danym wypadku nie Korei, nie Mandżurji — lecz Rosji.

W innym znów artykule czytamy:

> Łudzą nas pozory zewnętrznego „uspokojenia“; tym pozorom przynosimy wszystko w ofierze i nie dostrzegamy, że to tylko — złudzenie. Nigdyśmy nie byli bliżej zagłady, niż obecnie. Nasza całość państwowa zawisła w powietrzu. Rosja gotowa jest rozpaść się na części przy pierwszym silniejszym uderzeniu zzewnątrz. Nam już zagraża nie podział, lecz zupełne *rozpylenie* machiny państwowej, rozkład na tak drobne kawałki, które później *same* nigdy się nie zbiorą w jedną całość...
>
> Okropność naszego stanu wewnętrzego na tym polega, że cały nasz układ państwowy oparty jest wyłącznie na strachu...
>
> Rosja ginie od choroby wewnętrznej Przyczyny natury wewnętrznej, moralnej uczyniły nasz organizm państwowy kruchym naczyniem. Z tych przyczyn wewnętrznych główna i podstawowa — powszechna nienawiść wzajemna, która nosi w sobie zarodki anarchji. By uratować Rosję — trzeba pokonać tę nienawiść; na tym i tylko na tym powinna polegać prawdziwa narodowa polityka rosyjska...“

W poglądach ks. Trubeckiego na obecny stan Rosji jest niewątpliwie bardzo dużo słuszności historycznej i politycznej. Atoli, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że głos alarmowy tego prawdziwego patryjoty rosyjskiego pozostanie głosem wołającego na puszczy, — aż nadejdzie wreszcie „straszny sąd dziejowy”.

Przegląd polityki zagranicznej.

Radykalny przewrót polityczny w Turcji odbił się tak lub inaczej na wszystkich państewkach bałkańskich; spowodował on też pośrednio obecny, trwający od kilku miesięcy zamęt w wewnętrznych stosunkach greckich. Dopóki państwo Ottomańskie gniło i rozkładało się pod rządami absolutyzmu, wszystkie drobne narody bałkańskie żyły nadzieją rozszerzenia w bliższej lub nieco dalszej przyszłości swego stanu posiadania w drodze spadku po „chorym i umierającym człowieku”. Do rzędu tych ewentualnych spadkobierców należała do niedawna i Grecja. To drobne i biedne państewko, walczące z nadzwyczajnymi wprost trudnościami ekonomicznymi i finansowymi, marzy już od lat kilkudziesięciu o przyłączeniu do swych posiadłości rasowo pokrewnej mu Krety. Nadzieje te spotęgowały się zwłaszcza od końca lat 90-tych ubiegłego stulecia, kiedy wskutek stałych rozruchów krwawych na Krecie, wyspa ta została poddana opiece czterech państw europejskich, a jej gubernatorem mianowano greckiego następcę tronu. Od tego czasu dyplomacja europejska niejednokrotnie dawała do zrozumienia rządowi greckiemu, że po upływie terminu okupacyjnego, który się właśnie skończył w marcu r. b., Kreta zostanie wcielona do Grecji. Do tej myśli przyzwyczaiło się społeczeństwo greckie, poniekąd zrosło się z nią. Tymczasem zeszłoroczna rewolucja turecka zmieniła sprawę kreteńską do niepoznania. Młoda Turcja, acz oskubana zaraz po narodzeniu się przez Bułgarję i Austro-Węgry, skonsolidowała się i wzmocniła bardzo szybko i znalazła w sobie dość siły, by oświadczyć kategorycznie pod adresem swych sąsiadów i opiekunów, że na dalsze uszczuplenie swych granic terytorjalnych stanowczo nie pozwoli i z orężem w ręku będzie broniła całości państwa. Wobec zdecydowanej postawy Turcji i niemal ogólno-europejskiego zatargu o Bośnię, który nadzwyczajnie zaostrzył stosunki austryjacko-rosyjskie, nie pozostawało państwom opiekuńczym nic innego, jak wycofać we właściwym terminie swe załogi kreteńskie i oświadczyć Grecji, by się zrzekła wszelkich marzeń o przyłączeniu Krety. Co też i uczyniły.

Ten nader niepomyślny dla Grecji obrót sprawy kreteńskiej wywołał wielkie przygnębienie i rozgoryczenie wśród ludności. Niezadowolenie społeczeństwa skierowało się przeciwko rządowi i dynastji, które się nie czuły na siłach obronić żywotnych interesów państwa; przybrało wkrótce formę jawnego rokoszu wojennego, do którego się przyłączyły liczne korporacje i stowarzyszenia zawodowe. Rząd grecki musiał ustąpić bez oporu.

Od kilku miesięcy zorganizowany na modłę młodoturecką związek oficerów stał się faktycznym gospodarzem kraju. Zażądał on od dynastji, rządu i parlamentu niezwłocznego przeprowadzenia radykalnych reform w armji i marynarce, któreby znakomicie podniosły siły bojowe państwa i uchroniły go na przyszłość od klęsk upokarzających. Obradujący pod bagnetami parlament uchwala spiesznie wszystkie żądane reformy, napotyka wszakże na każdym kroku przeszkody wprost nieprzezwyciężone — gwałtowny brak środków finansowych. Pomimo więc nadzwyczajnego obcięcia wydatków na cele gospodarcze i kulturalne wielu pierwszorzędnych reform i potrzeb armji nie można zaspokoić. Tymczasem zapaleni reformatorzy—spiskowcy zgoła nie chcą się z tymi trudnościami liczyć i grożą w razie odmowy uwięzieniem rządu i parlamentu.

Ten stan nienormalny zupełnie zdezorganizował gospodarcze i ekonomiczne życia państwa. Nadto w szeregach samych związkowców powstają w ostatnich czasach poważne niesnaski i zamieszki, które na tle ogólnego zdenerwowania i rozgoryczenia mogą doprowadzić do żywiołowych wybuchów zorganizowanej anarchji wojskowej, jak to już miało miejsce w awanturniczym buncie kapitana marynarki Tipaldosa w końcu ubiegłego tygodnia Bunt ten, stłumiony narazie szybko i bez większego krwi przelewu przez resztę związku oficerskiego, świadczy bądź co bądź, że stosunki greckie przybierają obrót, przy którym interwencja państw europejskich staje się bardzo prawdopodobną.

Bunt Tipaldosa powinien być dla narodu i rządu greckiego bardzo poważnym ostrzeżeniem.

* * *

Powołanie rządu liberalnego oddziałało, zdaje się, bardzo kojąco na stan umysłów w Hiszpanji. W ostatnich bowiem tygodniach, zwłaszcza po straceniu Ferrera, zapanował był w społeczeństwie hiszpańskim nastrój tak groźny, iż oczekiwano z dnia na dzień wybuchu powszechnego powstania zbrojnego. Maura, który swym zachowaniem się i okrucieństwem wprost prowokował najspokojniejszą nawet część ludności, ostatecznie zmuszony został ustąpić po wypoliczkowaniu go w kortezach przez jednego z deputowanych. Nowy rząd hiszpański przywrócił natychmiast gwarancje konstytucyjne w Barcelonie i całej Katalonji oraz zniósł cały szereg ostrych zarządzeń administracyjnych swego poprzednika. Uspokoiło to kraj daleko szybciej i skuteczniej, niż wszystkie represje Maury. Burza się rozeszła, przynajmniej narazie.

Wszakże obecny stan Hiszpanji nie jest zupełnie pewny i trwały. Położenie nowego rządu w kortezach było bardzo chwiejne, gdyż nie miał po swej stronie większości parlamentn. Nie pozostawało mu oczywiście nic innego, jak rozwiązać kortezy w nadziei, że przyszłe wybory powszechne zapewnią mu stanowczą większość parlamentarną. To też przed tygodniem rząd istotnie kortezy rozwiązał. Od rezultatu przyszłych wyborów zależy więc niewątpliwie w znacznym stopniu spokój i dalszy rozwój wewnętrznych stosunków hiszpańskich. Nie przesądzając bynajmniej ich wyniku, należy podkreślić, że po ostatnich przejściach większość opinji kraju zwraca się widocznie zbyt gwałtownie przeciwko dotychczasowym panom sytuacji — konserwatystom i dynastji, jeżeli król Alfons uważał za konieczne ustalić w drodze enuncjacji półurzędowych swe *alibi* w sprawie stracenia Ferrera.

Niemniej i w stosunkach zewnętrznych nowy rząd hiszpański zjednał sobie odrazu sympatje Francji i Anglji. W ostatnich czasach opinja publiczna tych krajów zdradzała widoczny niepokój z powodu zbyt rozległych operacji armji hiszpańskiej przeciw Kabylom w Maroku. Sprawa ta wywołała przed paru tygodniami przykre zajście z francuskim gienerałem Amade'm i interpelację w parlamencie angielskim. Obecnie kategoryczne oświadczenie rządu hiszpańskiego co do pokojowych zamiarów Hiszpanji w Maroku rozwiało niepokój i podejrzliwość państw zainteresowanych i przyczyniło się do polepszenia nieco nadwyrężonych poprzednio stosunków dyplomatycznych z Francją i Anglją.

W sprawie książki A. Niemojewskiego „BÓG JEZUS".

Szanowna Redakcjo!

Dziękując serdecznie za wielce życzliwe traktowanie mej pracy „Bóg Jezus" i jej losów, dających się streścić w trzech słowach: „napisane, wydrukowane, skonfiskowane", uprzejmie proszę o łaskawe przyjęcie poniższych sprostowań, nie dotyczących bynajmniej poglądów krytyka, gdyż te są kwestją własności osobistej, ale faktów, stanowiących zawsze kwestję własności publicznej.

1) Szanowny krytyk nie zwrócił uwagi, że na str. 112 mej książki zakradł się błąd drukarski „Rudolf Sydel" miast „Rudolf Seydel", sprostowany potym dwukrotnie, bo w „Przypiskach" na str. 326 i w „Poprawkach" na str. 374; następnie już na str. 150, 151, 296, i 371 nazwisko tego uczonego było wszędzie drukowane prawidłowo. Stwierdziwszy to, nie przesądzam, na jakiej podstawie szanowny krytyk kwestjonuje „istotnie naukowy charakter" prac tego znakomitego badacza i dlaczego wnioski jego, które referuję, nazywa „zbyt ryzykownymi".

2) Wspominając wymienionego w mej książce Pawła Ernesta Jabłońskiego, szanowny krytyk głosi, iż prace jego, pochodzące z połowy XVIII-go wieku, „z konieczności były jeszcze dalekie od dzisiejszego racjonalizmu", nie postrzegając widocznie, iż cała moja książka jest wymierzona przeciwko badaniu racjonalistycznemu na rzecz źródłowego.

3) Toteż czysto racjonalistycznie a nie źródłowo twierdzi szanowny krytyk, iż nie należy przeceniać wzajemnych wpływów mitologicznych, przyczym pomieszał kwestję mitów z kwestją ksiąg świętych. Skoro dziś nauka znajduje niezbite dowody istnienia *autorów* ksiąg świętych, to nietylko ci autorowie mogli na innych wzorować się, ale nawet popełniać plagjaty. Przecież Seydel wykazuje niekiedy niemal *dosłowność* zwrotów świętych ksiąg indyjskich i chrześcijańskich, o czym wspominam na stronicy 113, jak np. w słowach Gabrjela do Marji i bramanów do Mai. Wersja hebrajska Potopu została uznana tylko za literacką odmianę babilońskiej. Jak zresztą mit o Janie Chrzcicielu jest „osnuty" na micie Heraklesowym, wykazuję dowodnie na str. 237. A jak „kopjowano" żywcem mity, świadczy chyba „Dionisos" przemieniony w św. Dionizego, „Pluton" w św. Plota, „Neptun" w św. Nepa, formułka pogańska „rogare et donare" rodzi św. Rogacjana i św. Domicjana, zaś formułka „perpetuam felicitatem" — św. Felicytę i jej „towarzyszkę" św. Perpetuę. Niechaj tedy łaskawy czytelnik osądzi, czy wobec takich faktów da się ocalić czysto „racjonalistyczne" rozumowanie krytyka: „Badania te wtedy tylko miałyby charakter naukowy, o ile celem (??) ich było wykazanie wspólnej psychologji legend o dwuch postaciach, mylnym zaś jest traktowanie jednej z nich jako kopji drugiej".

4) Zdanie, iż kościół zbrutalizował mity astralne, krytyk uważa za moje i w dodatku błędne. Otóż nie jest to jakieś moje mniemanie, ale fakt ustalony naukowo na podstawie źródeł dziejowych, opracowanych obecnie najlepiej przez znakomitego Cumont'a.

Sposób zaś, w jaki kościół brał się do rzeczy, odsłania między innymi „Sacramentarium Gelasianum", o którym piszę na str. 176. Toteż zarzut rzekomej sprzeczności mojej, iż z jednej strony kościół miał zbrutalizować mity astralne a z drugiej podnieść mimo to religję na wyższy poziom pojęć, wcaleby się nie pojawił, gdyby szanowny krytyk przeczytał uważnie i zreferował te rozdziały mej książki które wydały mu się dla streszczenia „zbyt skondensowanymi", co jednak tu uczynię w dwuch zdaniach. Tylko bardzo nieliczna garstka ludzi starożytnych widziała np. w słońcu „symbol" bóstwa, większość natomiast tak je czciła, jak dziś prostactwo czci święte obrazy. Kościół, tępiąc kult astralny i szczepiąc ideę bóstwa jako ducha niematerjalnego, wznosił religję rzeczywiście na wyższy poziom, ale mógł to uczynić tylko kosztem zaciemnienia astralistyki w Ewangieljach i Apokalipsie. Wystarcza zrozumieć całą barbarzyńskość kultu Mitry, aby wraz z Vollersem zgodzić się, że przecież chrześcijaństwo stanowiło krok naprzód od niesłychanego azjatyzmu.

5) Szanowny krytyk, zastanawiając się nad moją metodą, poucza mnie, iż „wielkie zagadnienie wolnej woli"—wbrew rzekomemu twierdzeniu mojemu, „współczesnych filozofów nigdy zajmować nie przestanie". Gdybym był rzeczywiście wygłosił coś podobnego, to skarga krytyka na takie *curiosum* byłaby poprostu zbyt skromna. Cała sprawa stąd wynikła, iż krytyk opuszcza widocznie przy czytaniu zdania względne a czyta tylko zdania główne i to nie wszystkie. Mniema, iż piszę: „Uczony dziś nie potrzebuje zastanawiać się nad pytaniami... czy człowiek ma wolną wolę" etc., gdy w rzeczywistości napisałem: „Uczony, który jej (t. j. postaci Jezusa) dzieje bada" etc. Ale szanowny krytyk całej wogóle str. 6 uważnie nie przeczytał, przeto rozszerzę nieco tę cytatę, aby rzecz wyszła jasno: „gdy dziedzinę badań, poświęconą... wizji Jezusa, przestał obciążać SERWITUT FILOZOFICZNY dopiero wtedy można było zacząć mówić o istotnie naukowym w nowszym znaczeniu tej WIZJI traktowaniu. Uczony, który jej dzieje bada, nie potrzebuje dziś zastanawiać się nad pytaniami, czy Bóg istnieje, czy świat został stworzony, czy człowiek ma duszę nieśmiertelną i wolną wolę i czy Zbawiciel mógł się narodzić z Dziewicy. On tylko bada bezstronnie, JAKIE LUDZKOŚĆ W CIĄGU DZIEJÓW MIAŁA NA TO POGLĄDY, ujęte w systematy religijne". Przeoczenie tego przez krytyka jest tym bardziej dziwne, iż słowa, drukowane tu wersalikami, są w ten sam sposób uwydatnione w mej książce.

Z najgłębszym szacunkiem i poważaniem

Andrzej Niemojewski.

Odpowiedź.

Co się tyczy zarzutu 1-go, to omyłki w dziele p. Niemojewskiego nie zauważyłem, lecz nie mając pod ręką prac Scydela popełniłem sam pomyłkę niezależnie od błędu korekty. Co do innych kwestji poruszonych wyżej nie uważam polemiki za możliwą, gdyż w kilku słowach żadnego poglądu nie da się umotywować należycie.

J. W.

D-r M. Roszkowski, kierownik i założyciel Kursów Higjeny Dziecięcej, przysyła nam następujące pismo:

Kancelarja Kursów Higjeny Dziecęcej ma zaszczyt zawiadomić, iż wykłady na kursach rozpoczną się w sobotę dn. 6 listopada r. b.i będą odbywać się 2 razy tygodniowo o godzinie 8-ej wieczorem dla ograniczonej liczby słuchaczek. Odczyty te, w liczbie 24, obejmą: 1) anatomję i fizjologję dziecka 2) właściwą higjenę wieku dziecięcego, 3) pielęgnowanie chorego dziecka, odkażanie rzeczy i mieszkań po chorobach zaraźliwych, oraz pomoc w nagłych wypadkach przed przybyciem lekarza. Odczyty będą ilustrowane pokazami w naturze i obrazami niknącymi. Wykłady na kursach będą trwały 3 miesiące.

Celem Kursów jest szerzenie drogą systematycznych wykładów wiadomości z zakresu higjeny wieku dziecięcego, niezbędnych dla każdej matki i wychowawczyni. Pożądanym więc byłoby, aby nasze uczelnie żeńskie nie zaniedbały skorzystać z nich.

Wykładać będą: D-r Klemens Pawlikowski (anatomję i fizjologję), D r Roszkowski (higjenę wieku dziecięcego) i D r L. Zembrzuski (pomoc w nagłych wypadkach).

Opłata za wszystkie wykłady wynosi rb. 6. Zapisy przyjmuje Kancelarja Kursów (Zielna 11, m. 2, tel. 21,94 — od 10-ej rano do 4 po południu).

KRONIKA.

— Projekt rządowy samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego podlega w komisji dla spraw gospodarstwa lokalnego przeróbkom w duchu reakcyjnym i nacjonalistycznym. Gdy projekt rządowy domagał się używania języka rosyjskiego w korespondencji z władzami, w aktach i księgach podlegających rewizji władz, komisją wyraża życzenie, by wszystkie akta i księgi samorządu miejskiego prowadzono w języku rosyjskim. Dalej jeszcze zaproponowano, by wszystkie instrukcje dla organów wykonawczych samorządu były zatwierdzane przez gubernatora, od którego zależałaby prawomocność uchwał rady miejskiej.

— Cesarz austryjacki zatwierdził ustawy językowe, uchwalone przez sejmy dolnej i górnej Austrji pomimo uroczystych próśb i protestów ze strony Czechów, którzy czynią gorzkie wyrzuty Kołu polskiemu, że nie broniło ich i nie poparło w walce z centralistycznymi zakusami Niemców. Dwaj ministrowie czescy podali się już do dymisji. Naturalnie polscy ministrowie teki swe zatrzymali.

— W Dumie utworzyła się nowa grupą czysto włościańska, do której zapisało się 35 włościan; postanowiła ona w sprawach, dotyczących ich interesów klasowych głosować solidarnie.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu G. w Warszawie: Jakkolwiek prenumerata „Prawdy" jest nie droższą niż innych tygodników tego rodzaju, rozumiemy dobrze, że jest jeszcze zbyt wysoką dla czytelników ze sfer robotniczych. To też (ceniąc bardzo te koła czytelnicze) chętnie obniżamy dla nich cenę do połowy tak samo jak dla nauczycieli ludowych, niższych urzędników — słowem, dla ludzi pracujących a niezamożnych.

Książki nadesłane do Redakcji.

— I, II, III, IV, VII tom. „Bibljoteki Powszechnej": „Złota Czaszka" „Horsztynski" „Beatrix Cenci„ Juljusza Słowackiego.

— Dr. Juljusz Kleiner: „Studja o Słowackim". Wende i S-ka Warszawa.

— Wojciech Szukiewicz: „Spółdziałanie" Nowości literackich t. XXIV."

— Józef Kotarbiński: „Pogrobowiec romantyzmu". Rzecz o Stanisławie Wyspiańskim. Geb. i Wolff. Warszawa.

— Jadwiga Warnkówna: „Wśród Skogów Szwecji i Fiordów Norwegji" .Geb. i Wolff Warszawa.

— Stanisław Przybyszewski: „Dzień sądu". Geb. i Wolff. Warszawa.

— Bohdan Zaleski: Wybór poezji. Ułożył Józef Kallenbach. Geb. i Wolff. Warszawa.

— Stanisław Koszutski: „Nim słońce skończy dzień". Poezje. Warszawa, 1909. Geb. i Wolff.

— Halina Zielińska: „Poezje II". Warszawa, E. Wende i S-ka. 1909.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu. **przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.